

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



WIKTOR GOMULICKI:

## SMUTEK JULIUSZA.

Na rodzinę biedaków spadło wielkie szczęście: umarł daleki krewny, pozostawiając milionową puściznę. Za życia mało o nim wiedzano i mało się nim zajmowano, nawet jego majątek nie budził zbyt wielkich pożądań, gdyż mieścił się w walorach, na których nikt prawie się nie znał. Ale samotnik umarł, znawcy pozostałość po nim oszacowali, i—oznajmiono rodzinie, że odziedzicza miliony.

Dzisiaj spadkobiercy od rana do nocy grzebią się w papierach nieboszczyka, przepatrują jego ruchomości, zaglądnę pod szafy, leżą pod łóżka, szukając złota, które on w nieładzie po całym mieszkaniu porozprasał. Szperanie opłaca się: to z tego, to z innego kąta wydobywają szperacze coraz nowe dukaty. Sterta ich rośnie a rośnie...

Wszyscy teraz zmarłego bogacza wychwalają; dla wszystkich jest on drogim i najdroższym. Odbywa się nieustanne liczenie odziedziczonych skarbów, i cała rodzina ma na ustach jedno tylko pytanie:

— Ile nieboszczyk nam zostawił?...

Czasem także ktoś westchnie:

— Jaka szkoda, że umarł tak młodo... Byłby nam zostawił jeszcze więcej!

Czemuż jednak ciekawość nie zwróci się w inną stronę? Czemuż nikt, dla odmiany, nie zapyta:

— Ile nieboszczyk od rodziny swej dostał? I co wogóle dało mu życie?

Olbrzymią, magnacką fortunę odziedziczyła Polska po Juliuszu Słowackim. Spadek jest tak wielki, że dotąd jeszcze nie zdołano go dokładnie obliczyć. W zapomnianych skrytkach odnajdują się coraz nowe bogactwa.

Zajmują się genialnym poetą wszyscy, i wszyscy go ponad najwyższe wirchy tatrzańskie wynoszą. Życie też jego jest przedmiotem poetycznych zachwyty, krytycznego szpiegostwa i drobnowidzowych dociekań. Z jednym tylko zapytaniem nikt dotąd nie wystąpił:

— Czy tego milionera jego miliony czyniły szczęśliwym?...

A jednak, gdy przed laty największy i najciekawszy z dzienników europejskich wysłał swego reportera na wywiady do Adolfa Rotszylda, ów reporter nie uważał za rzecz zbędną wtrącić przy pożegnaniu:

— Słódko jeszcze, panie baronie. Czy wielkie bogactwo daje szczęście?

Rotszyld miał na to uśmiechnąć się melancholijnie i szepnąć z paryską finezyą:

— *Oh! ce serait trop beau, monsieur!*...

Posągi po śmierci i szczęście osobiste za życia—nie! to byłoby również, jak na ludzkie stosunki, „zbyt piękne!”

Słowacki nie był szczęśliwy. Był nawet, po ziemsku tę sprawę sądząc, bardzo nieszczęśliwy, był jednym z najnieszczęśliwszych ludzi na ziemi, która wogóle w szczęśliwych nie obfituje.

Poza „fajerwerkiem ze stu tysięcy

gwiazd”, który poeta przed czytelnikami swymi spalił, nie widzi się jego prawdziwego oblicza. Gdy to oblicze wynurzy się na chwilę z pomiędzy niebosiężnych dekoracji jego dramatów, wydaje się podobnym jowiszowemu albo mojęszowemu. W lirykach zmienia się ustawicznie, jak maska aktora; bywa naprzemian: po królewsku dostojne; rozkochane, jak u Romea; sielskie, jak u Filona; figlarne, jak u Figara; złośliwe, jak u Lucyfera; słodkie, jak u Ariela; gniewne, jak u Eumenidy...

Ale Słowacki—człowiek, Słowacki—emigrant, Słowacki—pisarz miał oblicze jedno tylko: tragicznie smutne. Na chwilę nie schodziła z tego oblicza bladość śmiertelna; na chwilę też nie przygasły żarzące się na niem czarne, przepaściste oczy. Przez tę bladość, przez ten żar przeświecała dusza, „smutna aż do śmierci”.

Nie był jednak i nie mógł być Słowacki śpiewakiem jednego serca, nawet *swego* serca, choć ono było „sercem serc”, jak shelleyowskie. Mniej egotyczny, niż Leopardi, uczciwszy, niż Heine, bardziej męski, niż Musset, powściągliwszy od Byrona, a dyskretniejszy od Krasińskiego, nie obnosił swych osobistych smutków przed światem, nie czynił siebie środkowym jego punktem. Był śpiewakiem całego narodu, często także całej ludzkości.

Ale nawet na marmurową twarz łyżki niekiedy wytryskają, gdy przepełnione serce zmieścić już ich nie może...

Gdy orkan grzmi, gdy wszystkie potęgi ziemskie wstają do walki z niebem, gdy milionem lwich gardzieli wyje wzburzony ocean, nikt nie w tym huraganie głosów krzyk wołającego o pomoc rozbitka. A jednak wytyżone ucho zawsze w końcu ten wątpy krzyk pochwyli, wspomaganie może sercem współczującym...

Orkanem i zawieruchą dźwięków jest poezja Słowackiego. Potężną, nadludzką symfonią zagłusza poeta jęk własnej duszy. Słyszemy go jednak, ucho i serce wytyżywszy...

„Spełniłem srogą, twardą Bożą służbę”... „Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi iść?”... To jest już prawie spokojne, przedśmiertne wyznanie. Ale wsłuchajmy się lepiej w te słowa, a poznamy, że pod nimi, jak pod skrzepłem szklivem wulkanicznym, kłębi się lawa bezbrzeżnego bólu.

A owa skarga, mimochodem rzucona, w „Podróży na Wschód”.

Gdyby Bóg wiedział, jak mi było trudno  
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć  
I nie przeklinać... i drogą bezludną  
Iść po tym świecie szalonym i niknącym,  
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,  
Myślą tą modlić się i—nie przeklinać.

A owo bezdennie smutne *finale* „W Szwajcaryi”, nie mające równego sobie w poezji wszechświatowej:

I tu, i tam, za morzem i wszędzie,  
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,  
Wszędzie mi smutno, i wszędzie mi jedno,  
I wszędzie mi źle...

A owo rytmiczne jęczenie na pokładzie okrętu, powracające wciąż, jak morska fala, a głuche i beznadziejne, jak stuk młotka, zabijającego trumnę, owo „Smutno mi, Boże”,

które czarną flagą na korabiu polskiej poezji powiewa...

Może jednak najsilniej, bo najbezpośredniej odmalowała się dusza poety w krótkim, prostym krzyku, wprost z serca wydartym, a rzuconym między słowa któregoś z listów:

„Bóg tylko wie, jak mi było ciężko żyć!...”

Koniecznymi przyprawami, z których się składa ziemskie tak zwane „szczęście”, są: zdrowie, zamożność, miłość wzajemna, poczucie wyższości, zbudzone przez sławę i zaszczyty... Z tych wszystkich przypraw Słowacki nie otrzymał od losu ani jednej.

W dzieciństwie umiera mu ojciec, pozostawiając w spadku: straszne dziedzictwo suchot. Szczupła fortuna, ofiarami matki podsykana, zapewnia mu wprawdzie względną niezależność, ale skazuje z góry na życie ciche, równe, oszczędne, wykluczające raz na zawsze poetyckie *à la* Byron fantazje, do których rwać się musiał ognisty temperament poety.

Miłość w życiu Słowackiego jest tylko snem czarownym. Poeta tylko „oczami duszy” widzi siebie w otoczeniu sułtanek, nimf, anielic. W rzeczywistości wiecie żywot anachorety i przez całe życie nie posiada ani jednego serca kobiecego, któreby naprawdę było mu „cichym wezgłowiem”.

O sławie, o zaszczytach niema nawet co mówić. Za życia Słowacki nikt nie w olbrzymim cieniu, przez Mickiewicza rzuconym. Aż do śmierci zmuszony jest, według wyrażenia Kochanowskiego „śpiewać za płotem, świerzczom się polnym przeciwiąc”. Jego geniuszu nie rozumie nikt ze współczesnych, nawet wielki Adam—i najbardziej właśnie ten ostatni. Krasiński jest mu towarzyszem lotów tylko do pewnego punktu, potem, prześcigniony przezeń, traci go z oczu, widzieć go i bratać się z nim przestaje...

I dzieje się wistocie ze Słowackim, co z balonem, pozbawionym balastu. Wzbija się na wysokość, oku ludzkiemu niedostępną, znika całkowicie w błękitach...

Smutek i ból nie zabity Słowackiego, bo one nigdy nie zabijają geniuszów. Owszem, w bólach i smutku geniusze wzmaga się i rosną. Trudno nam pojąć geniusza po ziemsku szczęśliwego. Od legendowego Homera, ślepego i żebrzącego, aż do Mickiewicza, zmuszonego uchodzić z własnej ziemi, wszyscy wielcy mężowie idą do gwiazd przez ciernie. Nawet o Napoleonie pierwszym powiedział Wiktor Hugo: „Dopiero Święta Helena uczyniła go zrozumiałym”.

Ale ból i smutek wpłynęły na kierunek i dalekość lotów Juliuszowych. Zrywając jedną po drugiej nici, wiążące poetę z ziemią, uczyniły go w końcu—nadziemskim.

Współcześnie z wyjściem „Pana Tadeusza” zachwyca się nim Słowacki. Ale w epoce pisania „Króla-Ducha” patrzy nań z wysoka.

Jak duch Boży w jego „Genezis”, tak i duch poety przeszedł przez wszystkie kształty ziemskie, stopniowo piękniejąc i doskonaląc się, aż skończył na anielskości.



POGROBOWIEC

PIOTR STACHIEWICZ

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie,  
 Odpuść nam nasze winy!  
 Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;  
 Przez nas czyń Twoje czyny!  
 Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,  
 Niech się święci trzy razy!

Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci  
 Dla naszych ran i zmazy.

.....  
 Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,  
 Gdyby z grobowca wstali.

„Do autora trzech psalmów.“





ŚMIERĆ ELLENAI

PIOTR STACHIEWICZ

A Eloe, uklękawszy nad śpiącą, podłożyła pod nią z obojej strony końce skrzydeł łabędzich i zawiązała je pod umarłą.  
I z pełnemi trupa skrzydłami, wstawszy, na księżyc odeszła.

„Anhell”.

# Kordyan w Watykanie

PRZYCZYNEK DO TŁA  
DZIEJOWEGO DRAMATU.

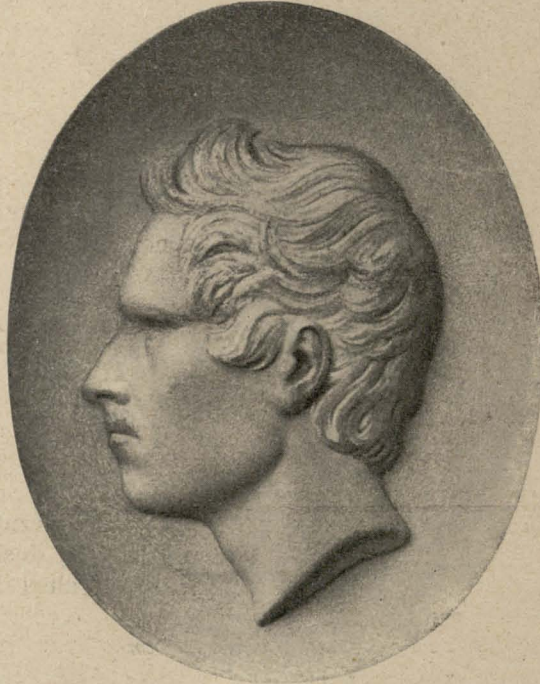
Do najsilniej wrażliwych się w pamięć czytelnika „Kordyana” należy scena audyencyi w Watykanie. Nie dla jej ekspresyjności i natchnienia wieszczego; pod tym względem jest jedną ze słabszych, lecz z powodu głębokiego sarkazmu i goryczy, jaką nacechowany jest cały ten dyalog pomiędzy Kordyanem a papieżem. Scena powyższa, aczkolwiek z wyraźną tendencją skreślona, nie może bynajmniej służyć za dowód, jak chcą niektórzy, „bezwyznaniowości” Słowackiego, lub też jego wrogię usposobienia względem Kościoła. Zaprawiony bolesną ironią okrzyk poety pod adresem Stolicy Apostolskiej jest tylko odbiciem tego żalu i rozgoryczenia, jakie się ujawniło w społeczeństwie naszym po roku 1831 z powodu nader wstrzemięźliwego, a nawet niekiedy wprost niechętnego stosunku Watykanu względem rewolucyjnej listopadowej.

Już w poprzedniej, przedpowstaniowej dobie Królestwa Kongresowego między władzą świecką a klerem katolickim trwała nader zacięta walka kościelno-polityczna, gorąco zwłaszcza prowadzona przez ministra Stanisława Potockiego z jednej strony i żywioły ultraklerykalne, oraz Jezuitów z drugiej. W walce tej Potocki upadł, zastąpiony przez reakcyjną, kreaturę Nowosilcowa, Stanisława Grabowskiego. Skutkiem bezpośrednim wzmożenia się reakcji w zakresie spraw religijnych było znaczne odsunięcie się kleru od udziału w życiu narodowym publicznym. Doktryna possewinizmu, zaprzatająca dyplomację watykańską w tym okresie, nie bez wpływu Metternicha, udziela się również pewnej grupie duchowieństwa polskiego. Dla zwodniczych planów wschodnich poświęcano niejednokrotnie interes narodowy.

Obojętność Stolicy Apostolskiej dla sprawy polskiej ujawniła się najdobitniej w czasie powstania. Na pismo marszałka sejmu, Władysława Ostrowskiego, proszącego dla Polski o papieskie błogosławieństwo i wstawiennictwo do mocarstw zagranicznych, papież Grzegorz XVI w liście swego sekretarza stanu, kardynała Bernetti, odpowiedział odmownie. Bardziej powolną natomiast okazała się kurya rzymska żądaniom dworu rosyjskiego. Już po upadku ruchu, d. 20 kwietnia 1832 r., pełnomocnik rosyjski, ks. Gagarin, złożył w Watykanie notę, w której żądano od papieża, aby wezwał duchowieństwo polskie do spokoju i należynej uległości dla władzy świeckiej.

„Ostatni bunt w Polsce—czytamy tam—który się tak groźnie objawił, mógł być łatwo nabrać niezmiernie rozciągłości, gdyby był nie był powściągnięty przez zwycięskie wojska J. C. Mości (Mikołaja I), lecz ku zapewnieniu istotnego dobra poddanych jego nieodbitnie potrzeba, aby przytłumić wszelkie zarody rewolucyjne, mogące jeszcze istnieć w kraju. Dokonać tego można jedynie przez wpływ moralny. A jestże jaki wpływ potężniejszy nad wpływ religijny?” Wychodząc z tego założenia, ks. Gagarin domaga się ogłoszenia bulli papieskiej, potępiającej niedawny ruch zbrojny o charakterze wyrotowym i zbrodniczym. „...Powrót podobnych rozruchów—zdaniem posła—zagroziłby całej Europie nieszczęściami, mogącemi ją wtrącić w otchłań, której głębokość przeraża wyobraźnię...”

Na skutek noty powyższej ogłoszony został słynny okólnik Grzegorza XVI z d. 9-go czerwca 1832 r. do biskupów i duchowieństwa polskiego. Rzucono tam ciężkie oskarżenia. Wypadki w Królestwie spowodowali ludzie „zdrady i fałszu, którzy, pod płaszczykiem religii w tych tak smutnych czasach przeciwko prawnie ustanowionej władzy bunt podnosząc, ojczyznę swoją, z pod jarzma należytej zależności wyłamanej, napełnili smutkiem i boleścią”.



JULIUSZ SŁOWACKI.  
Rzeźba M. Guyskiego. Ze zbiorów d-ra Baranowskiego.

W dalszych wywodach z powoływaniem się na teksty biblijne zalecano „posłuszeństwo względem władzy, ustanowionej przez Boga... jeden wypadek wyjąwszy, gdyby władza ta sprzeciwiała się prawom Boga i Kościoła...”

Okólnik papieski sprawił zarówno w kraju, jak na emigracji, bolesne i przygnębiające wrażenie. Kilkanaście rodzin szlacheckich popchnął do zmiany wyznania rzymsko-katolickiego na prawosławne. Wypadek ten bardzo żywo odczuto w Watykanie. Jeden ze znakomitszych kardynałów czynił z tego powodu wyrzuty papieżowi.

List Grzegorza XVI wstrząsnął Słowackiego do głębi; był też bezpośrednią przyczyną gwałtownego wystąpienia poety w „Kordyanie”. Nie możemy na tem miejscu wchodzić w dłuższą analizę wzmiankowanej sceny dramatu Słowackiego. Dość zaznaczyć, iż niektóre ustępy są niejako poetycką parafrazą słów okólnika papieskiego. I raz jeszcze w wizji piekielnej Piasta Dantyszka ukaże się postać papieża, autora słynnej „bulli” z 1832 r.

Kto wie, czem była Polska dla tułaczy naszych w pierwszych latach po rewolucyjnej listopadowej, ten odczuje i zrozumie krzyk buntowniczy zranionego serca poety.

Skutki polityki Grzegorza XVI nie były pomyślne dla kościoła polskiego. Nadeszły lata ciężkich klęsk. Rok 1839... Siemaszko... Mieczysławska...

W poglądach Stolicy Apostolskiej na sprawy religijne w Polsce zaszły też zmiany radykalne; dał im między innymi wyraz tenże Grzegorz XVI w znanej allokucyj z 22 lipca 1842 r.

H. MOŚCICKI.

## Nieznane pamiątki po Słowackim.

Z puścizny po matce Słowackiego, która po jej śmierci przeszła na Januszewskich, a później na Sobieszczańskich, w posiadaniu dra Romualda Szawłowskiego w Chrzanowie, wśród innych pamiątek, jego i jego rodziny dotyczących, znajduje się jeszcze akwarelowy portrecik pani Becu, który obok po raz pierwszy w reprodukcji załączam. Dosyć dużych stosunkowo rozmiarów (38 × 23 cm.), akwarela ta przedstawia matkę Słowackiego w całej postaci w profilu, w prawo zwróconą. Postać całą okrywa rodzaj długiego popielatego szlafroka, na głowie mocno pstry czepeczek. Czas powstania (dzieło najprawdopodobniej amatorskie) oznaczyć bliżej trudno, zwłaszcza że twarz wieku nie określa i posiada bardzo mało indywidualnego wyrazu.

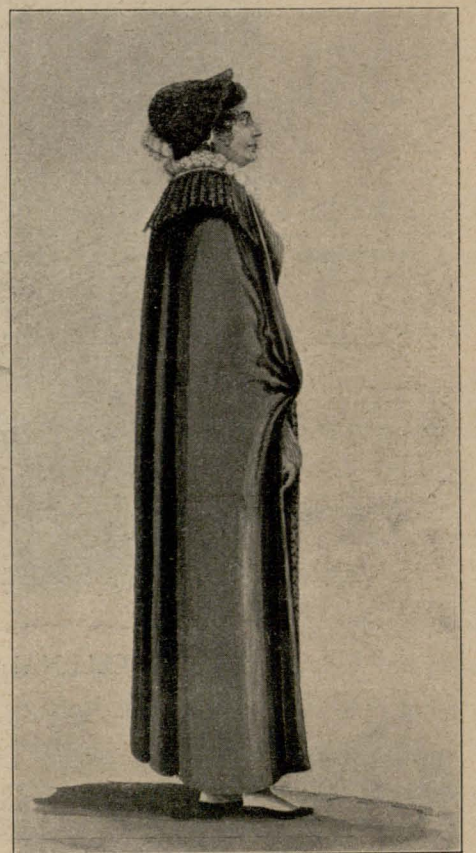
Najwięcej wogóle ze znanych dotąd wizerunków matki poety posiada go niewątpliwie drugi tutaj zamieszczony jej portret (olejny), który, również z tej samej puścizny pochodzący, znajduje się dziś w bogatych zbiorach pani Heleny z Dąbcańskich Budzynowskiej we Lwowie. Autorem jego jest malarz wileński, Józef Pitschmann (1758—1834).

Portret ten zresztą znany już jest o tyle, że jest on tylko powiększoną znacznie repliką takiego samego portretu tegoż artysty, który wraz z pendant-portretem Euzebiusza Słowackiego znajduje się w zbiorach tyle koło pamięci poety zasłużonego p. Leopolda Méyeta w Warszawie. Oba te portrety ze zbiorów p. Méyeta reprodukowałam w swoim „Albumie sztuki polskiej” p. Henryk Piątkowski. Niemniej wobec tego, że portret ze zbiorów p. Budzynowskiej znacznie jest od méyetańskiego większy (54 × 38 cm.) i, o ile z reprodukcji tamtego sądzić mogłam, znacznie więcej od niego posiada wyrazu, uważałam za wskazane zamieścić tutaj jego reprodukcję.

Wreszcie jedna jeszcze drobna, ale nieznaną pamiątka.

Jest nią rysunek, również w posiadaniu p. Szawłowskiego się znajdujący. Przedstawia on według napisu na odwrotnej stronie ćwiartki (16.8 × 13 cm.), ręką Teoфіła Januszewskiego umieszczonego:

„Grobowiec rodziny Januszewskich na krzemienieckim cmentarzu—w nim złożeni: Teodor, Aleksandra Rodzice, Salomea córka ich, i wnuka



Portret pani Becu, matki Juliusza Słowackiego.

a córka Teofila i Hersylii z Becu Januszewskich Melania. Jan zginął w boju w Latyczowskim pod Majdankiem. Juliusz w tułactwie—ostatni pogrzebany na cmentarzu w Mont-Martre”.

Poniżej tą samą ręką przepisane widocznie napisy grobowca:

*D. O. M.* Tu spoczywają — zwłoki — *Aleksandry* z Dumanowskich i *Teodora* Januszewskich. Alex: żyła lat 58. Umarła 11 Listopada 1833 r.



Matka Słowackiego. Malował Józef Pitschman.

Teodor żył lat 80. Umarł 3 Lipca 1837 r.—*Janowi* i *Julii* z Michalskich Januszewskim.—Jan żył lat 33. Umarł 1831 r. d. 23 Maja. Julia żyła lat 53 umar: 1852. r. d. 15. Lipca.—*Salomea* z Januszewskich Becu—wdowa po Euzebiuszu Słowackim, matka Juliusza Słowackiego. Żyła lat 65. Umarła d. 26 Lipca 1855 r.—*Juliuszowi Słowackiemu*. Urodzony w Krzemieńcu 23 Sierpnia 1809 r. Umarł w Paryżu 3 kwietnia 1849 r.—i *Melanii* 4-oletniemu dziecku Teofila i Hersylii Januszewskich”.

Niżej jeszcze ręką p. Stanisława Szawłowskiego dopisano daty urodzenia i śmierci Teofila i Hersylii, oraz notatka: „ten rysunek znalazłem między starymi gratami po pani Januszewskiej”.

A. Ł. C.

## Spisek koronacyjny 1829 r. w świetle prawdy dziejowej.

Któż nie pamięta wstrząsających scen III-go aktu „Kordyana”, w podziemiach katedry warszawskiej i na królewskim zamku? Należą one do najpiękniejszych w całym utworze pod względem siły natchnienia i prawdy poetyckiej.

Ale co mówi prawda dziejowa? Czy badania bliższe nie rozwiją legendy o rzekomym spisku koronacyjnym, która posłużyła za ośnowę nie tylko „Kordyana”, ale, wprawdzie jeszcze, „Wacława dziejów” Garczyńskiego? Czy nie podzieli losu tylu legend dziejowych, które nauka historyczna oddawna „między bajki włożyła”?

Odpowiedź na te pytania daje praca, która ukazała się niedawno w druku, praca niezmiernie ciekawa i godna poznania.

Mówimy tu o studium zamiłowanego badacza naszej przeszłości, p. Aleksandra Kraushara, p. t.: „Spisek koronacyjny”. Na podstawie niedostępnych dotąd tajnych papierów Nowosilcowa stwierdza autor, że ów zamierzony, a nie wykonany zamach w r. 1829 sprowadza się do rozmiarów drobnej afery studenckiej, której autor, kleryk Wincenty Smągłowski, ciekawy typ entuzjasty politycznego i młodocianego spiskowca, maluje się doskonale w złożonym przez niego specjalnej komisji śledczej zeznaniu.

*Sic transit gloria... fabularum!*

## Warneńczyk.

Ranek dnia 10 listopada 1444 roku zastał wojska polsko-węgierskie, rozłożone wązkim, lecz długim pasmem na obszernej równinie warneńskiej. Sposobiono się do boju. Od paru dni było już wiadomo o zbliżaniu się Murada z armią podobno czterdziestotysięczną. A nocy ubiegłej widziano już z obozu królewskiego liczne ogniska, rozpalone przez Turków poza wzgórzami, okalającymi dolinę. Wstawał pogodny dzień jesienny. W powietrzu, nasyconem bladożółtymi promieniami słońca, migotliwie błyskała stal pancerzy, żarzyły główce mieczów; czarno-purpurowe barwy królewskich chorągwi dziwnie złowrogo odbijały na jasnym tle obozowiska; i chyba tylko martwiejąca roślinność i szelest nawpół przegniłego i zwarzonego rannym szronem listowia dostrajał się do tych dum ponurych, jakie niejedno czoło przesłaniały.

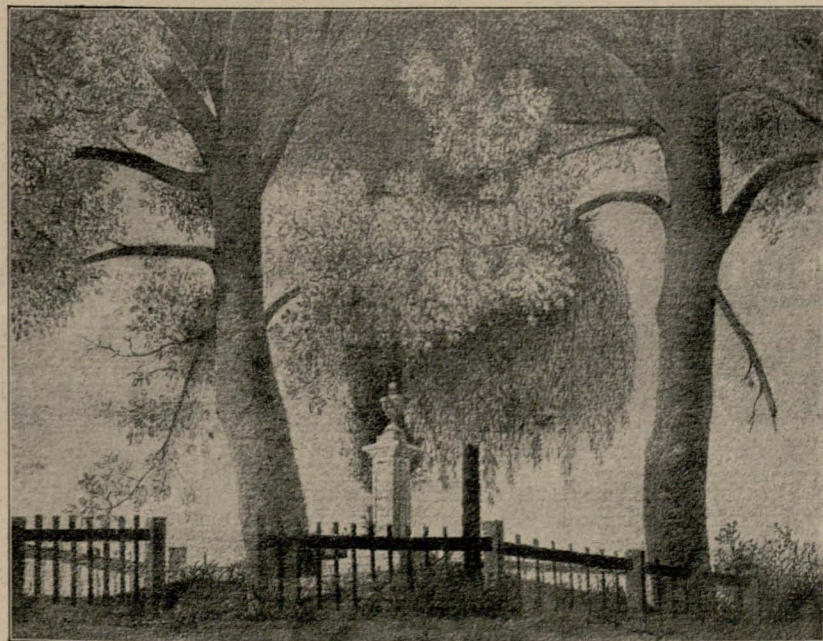
Król Władysław był pełen zapału i wiary. Miał lat dwadzieścia.

W tym wieku nie do smutków i płaczących utyskiwań. Syn Jagiełłowy z krzepkiego wychodził rodu. Nie dźwigał brzemienia ciężkich, trawiących przemyśleń, nie znał, co męka duchowa, dziedzictwo następnym po nim pokoleń, rwał się do życia, jak orzeł w szlaki podniebne, i w tem jego podniosłem pragnieniu wielkiego czynu było wiele prostoty i nieobłudnej tężyzny.

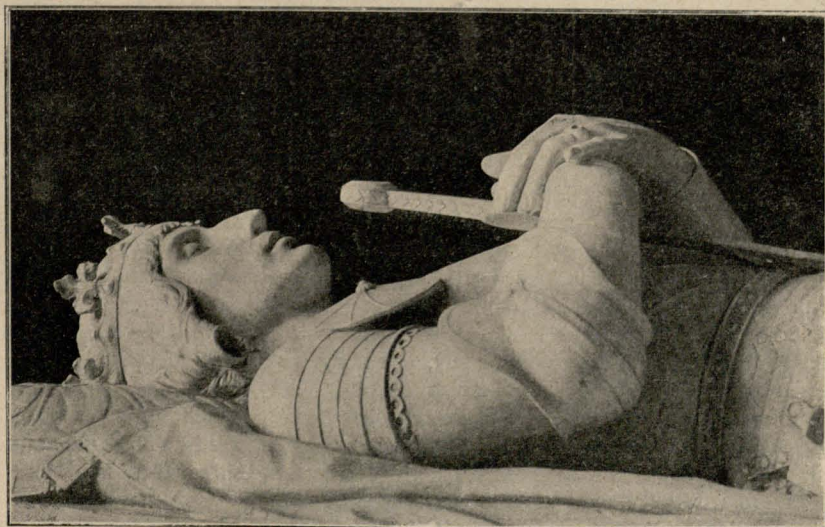
Teraz szedł na bój śmiertelny, a radość biła mu z lic młodzieńczych. Dosiadł konia, mimo dolegliwego bólu w nodze. Pierwszy do czynu, w radzie ulegał głosom doświadczeńszych od siebie. Szyk bojowy sprawiał wódz węgierski, Jan Hunyady. Wyzyskując korzystnie teren, rozwinął półkolem wojska królewskie. Prawe skrzydło zajęły zaciężne chorągwie węgierskie, na lewym również stanęli Węgrzy i rotę kardynała Juliana, w środku król z doborową drużyną polsko-węgierską, skupioną w zwartych szeregach przy jaśniejącym w słońcu sztandarze św. Jerzego. W drugiej linii rozwinęły się zastępy rezerwowe. Więc chorągiew św. Władysława pod dowództwem biskupa waradyńskiego, pułki wołoskie, wreszcie Leszek Bobrzycki z małą garstką Polaków.

Lada chwila grzmieć poczną surmy bojowe. Wtem niewiadomo skąd nadciągnęły chmury, zerwał się wiatr niespokojny, wzmagający się z niepomierną gwałtownością. Szarpał gniewnie porpore, pochylał ciężkie drzewca chorągwi, aż zagnała przeszedł w huragan. Wszystkie sztandary chrześcijańskie legły, jakby podcięte ogromnym kosikiem, ostała się jeno wielka chorągiew królewska. Zły to był prognostyk dla wojska. Tymczasem burza ucichła. W obozie tureckim zaplanowało niebywałe ożywienie. Wysunęła się naprzód i ustawiła w potrójną linię bojową jazda lenna rumelijska i anatolska, spahowie Porty i, jak chmara lotnego ptactwa, wychylać się zaczęły z poza wzgórz nieregularne grupy janczarów, pędzące przed sobą wielbłądy juczne, dalej piechota i reszta jazdy.

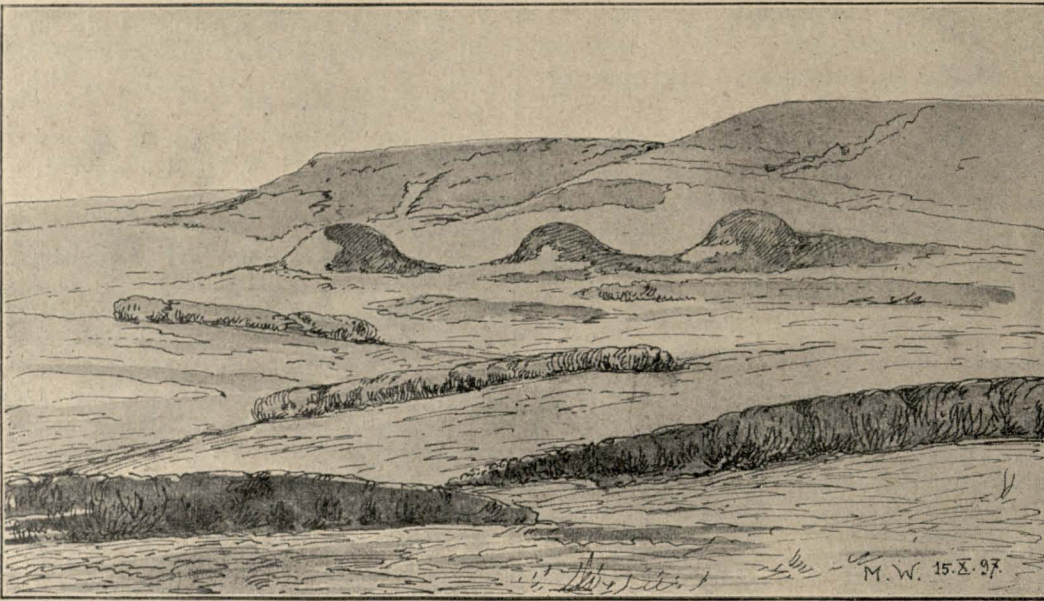
Rozpoczęli bitwę łucznicy tureccy, lecz strzały ich prawie nie sięgały chrześcijan. Nastąpił silny atak na prawe skrzydło węgierskie. Już po pierwszym starciu pierzcha oddział biskupa Waradynu, „nie tyle biegłego w sztuce wojennej, ile w Piśmie św.”, za nim poszli w rozsypkę Wołosi. Z całego prawego skrzydła oparła się tylko chorągiew św. Władysława, broniona przez dwustu ledwo rycerzy. Tu rozegrała się najzaciętsza walka: chodziło o obronę sztandaru państwa węgierskiego. W tym momencie, gdy już chwiał się zaczęły szeregi chrześcijańskie, ruszył król do boju. Zwały się pędem wojska, zahuczało od uderzeń mieczów, chrzęstu zbroi, rżenia koni, jęku rannych. Zwycięstwo przechyliło się na stronę Władysława. Wśród Turków powstała pogłoska o śmierci sułtana, lewe skrzydło Murada złamano, nieprzyjacieli ustępował na całym lewym flanku. Lecz w działaniach króla i Hunyadego nie było jednolitości. Bitwa generalna rozbiła się na szereg drobnych, cząstkowych utarczek; gdziegdzie zwyciężali Turcy, na innym miejscu przewaga była



Grobowiec rodziny Januszewskich na cmentarzu krzemienieckim.



Fragment pomnika Warneńczyka na Wawelu. Rzeźba A. Madeyskiego.



Mogiły na polu bitwy pod Warną. Rysował z natury M. Wawrzeński.

po stronie chrześcijan. Wtem zaszedł wypadek niespodziany, który zdecydował o losach bitwy. Król uderzył na szyk janczarski, złamał go, szedł, jak wicher, wprost na sułtana, otoczonego wyborową piechotą i jazdą. Szeregi orszaku Murada rozstąpiły się, „otworzywszy—jak pisze kronikarz turecki—drogę temu psu bez duszy”, lecz, wpuszcivszy w środek Władysława, zwały się silnym pierścieniem i odcięły bohaterskiego młodzieńca od jego otoczenia. Na pomoc nikt nie przybywał. Przy królu walczył tylko szczupły hufiec polski. Władysław bronił się rozpaczliwie. Naraz padł pod nim koń, raniony przez janczara Kodża Chazera. Król upadł na ziemię. Uderzeniem topora odrąbano mu głowę. Losy bitwy były rozstrzygnięte.

Tak zginął Władysław, zwany odtąd Warneńczykiem, król polski i węgierski. Poszła o nim

niał, że to król, i utrzymywał, że poznaje go z postawy i po sześciu palcach u stopy. Baśnie te stwierdzają w każdym razie, jak wielką sympatją otaczano pamięć młodego monarchy.

Wbrew wieściom, szerzonym przez kronikarzy o krzywoprzysięstwie Władysława i klęsce warneńskiej, jako słusznym pokaraniu niebios, tradycja narodowa opromieniła imię Warneńczyka blaskiem bohaterskiej cnoty i aureolą męczeństwa. I w tem ukochaniu męznego syna Jagiełły, co niósł w obce kraje „białego orła połot zwycięski”, nie omyliło się serce narodu. Najnowsze badania historyczne oczyszczają Władysława III z zarzutu zdrady; okazuje się mianowicie, że rzekomo podeptany przez króla rozejm szegedyński zawarty został bez jego wiedzy i zezwolenia przez despotę Serbii, Jerzego Brankowicza, i wodza węgierskiego, Jana Hunyadego. Władysław w tym samym czasie, gdy za

jego plecami układano pakt pokojowy, sposobił się do wielkiego dzieła. W tej niepokromionej jeszcze duszy młodzieńczej żarzył się ogień czynu; w głowie snuły się jakieś olbrzymie plany obrony chrześcijaństwa a przed nawałnicą muzułmańską. Ten Litwin, urodzony z ojca neofity i matki księżniczki ruskiej, był już człowiekiem Zachodu, nieświadomie przeczuł we własnej krwi dostojność przeznaczeń cywilizacyjnych rodu, z którego wychodził. Dla tej idei czystej a wzniosłej, dla wiary, symbolizującej kulturę zachodnią w przeciwstawieniu do barbarzyńskiego Wschodu, dla idei jagiellońskiej położył swe życie młode i piękne. Ci, z którymi wypadło mu działać, nie dorosli do tych zadań szczytnych; byli to ludzie o małych, poziomych duszach, a „pychy i zarozumienia wielkiego”. Spaczyli dzieło Władysławowe, które dziedzictwem odtąd przechodziło na Polskę, „przedmurze chrześcijaństwa”.

\*  
Wiadomość o znalezieniu pod Warną szkie-

letu króla Władysława Warneńczyka przyjąć należy z wielkim powątpiewaniem. Dotychczas poza faktem odkopania szkieletu bez czaszki (i to w nader niezwykłych okolicznościach—przez poszukiwaczy skarbów!), nie posiadamy żadnego dowodu, stwierdzającego jego pochodzenie. Dowodów takich prawdopodobnie dziś, po 465 latach, mieć nie będziemy. Ważne byłoby dokładne określenie miejsca spoczynku zwłok Warneńczyka. Kallimach w książce swej „O królu Władysławie i klęsce warneńskiej”, wydanej w r. 1519, pisze: „Odszukawszy ciało króla, na niewielkiej kolumnie, którą dziś jeszcze (w drugiej połowie XV w.) można widzieć, z opisem całego wypadku na tem samym miejscu Turcy wystawili”. Z kolumny tej, oczywiście, nie pozostało ani śladu. Wystawiony w r. 1856 pomnik dla poległych pod Warną znajdował się na domniemanym miejscu zgonu króla. Zdaniem najpoważniejszego znawcy naszej przeszłości, prof. Tadeusza Korzona, prawie niemożliwe jest obecnie zebranie takich autentycznych dowodów, któreby pozwoliły na pochowanie świeżo odnalezionego szkieletu w grobach królewskich na Wawelu...

Mogiła Warneńczyka pozostanie i nadal nieznaną. W kurhannych dumach śnić będzie lud o królu-bohaterze, a pamięć o klęsce zostanie w modlitwie dzwonów, bijących na Anioł Pański i za odpoczynek wieczny poległego w potrzebie warneńskiej kwiatu rycerstwa polskiego. H. M.

## Dzień polski w Stambule.

Wszystko to było, jak w baśni...

Orły polskie obok tureckich półksiężyców, emigranci polscy ręką w rękę z dostojnikami Partii Otomańskiej, Matka Boska Częstochowska, spoglądająca z ołtarza na mrowie ludu w barwnych kostiumach wschodnich, pieśni polskie, bijące falą potężną o stropy świątyni w tym samym Stambule, gdzie niegdyś śmierć męczeńską ponosili pełnomocnicy i wodzowie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.



Władysław Warneńczyk. Z albumu Jana Matejki.

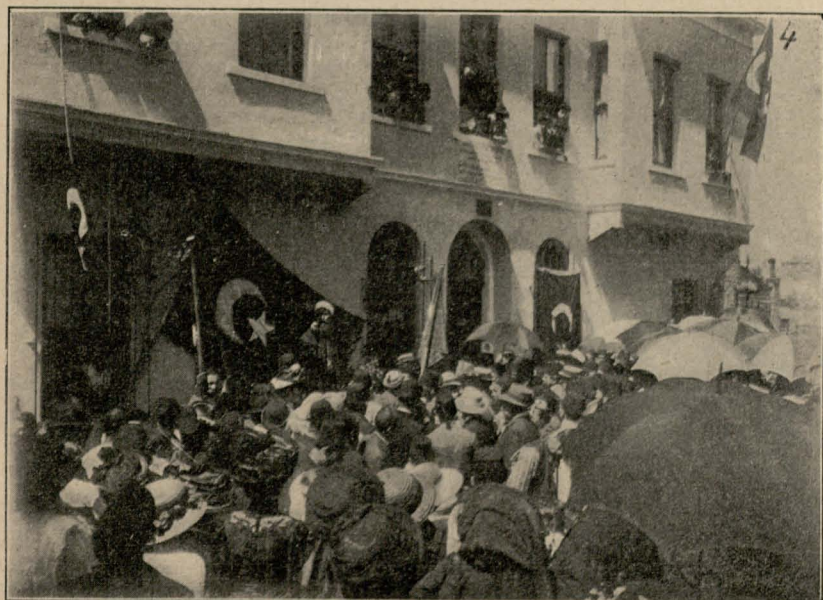
po kraju, jak długi i szeroki, dziwna legenda, mówiono, że żyje, że dostał się do niewoli tureckiej, zbiegł stamtąd na dwór greckiego cesarza i Paleologa córę bierze za żonę. W ośm lat po bitwie warneńskiej podawał się za rzekomo ocalałego króla niejaki Jan z Wilczyny, ciekawy na naszym gruncie już w XV wieku typ awanturnika i szalbierza. Opowiadano też, że w r. 1466 magnat czeski, Leon z Rozmitalu, podróżując po Hiszpanii, spotkał się tam z pustelnikiem, którego miano za króla Władysława, pokutującego jakoby za złamanie danej Turkom przysięgi. Gdy pustelnik wypierał się, jakiś Polak z orszaku Leona zapew-



DZIEŃ POLSKI W STAMBULE.

Przy wyjściu z kościoła Najś. Maryi Panny w Stambule. Delegacje narodów Wschodu otaczają sztandary. Dostojnicy otomańscy kroczą obok wychodźców polskich. Fotografia u góry przedstawia generała Chukri-Paszę, uczestnika kampanii krymskiej, na progu domu Mickiewicza.





#### EPIZODY UROCZYŚCÍ POLSKO-TURECKICH W KONSTANTYNOPOLU

1) Na wielkiej ulicy w dzielnicy Pera. 2) W pobliżu domu Mickiewicza. Koloniści polscy z Adampola niosą sztandary. 3) Zarznięcie, na cześć Mickiewicza, barana, którego mięso, zgodnie z obyczajem tureckim, rozdziela się pomiędzy ubogich 4) Hassan Effendi, duchowny mahometański (hodża), profesor uniwersytetu, mówi o pięknej śmierci Mickiewicza.

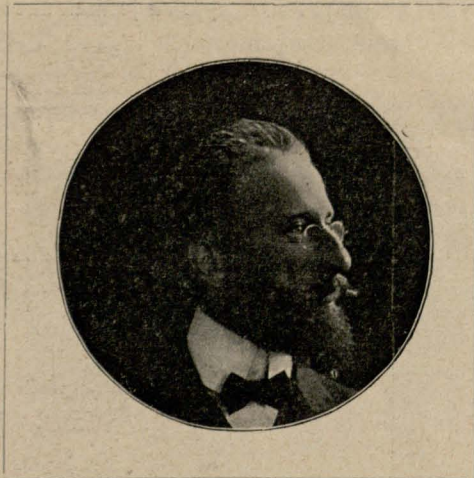
Sen-li to czy rzeczywistość? A może spełnienie proroczej wizji kozaka-wieszczka Wernyhory?

I przypomniały się czasy dawno minione, po rozbiorach, kiedy wychodźcy polscy, co, zanuciwszy „na ojczyzny grobie” piosnkę o żołnierzu-tułaczu, „poszli w kraj świata”, pod wodzą Ksawerego Dąbrowskiego skupiali się na Wołoszczyźnie w armię maleńką, a Ogiński, Rymkiewicz i Władysław Jabłonowski, zwany „Murzynkiem”, szukali związków dyplomatycznych na dworze sułtańskim; i te dni, o pół wieku późniejsze, kiedy w r. 1855 wielki poeta polski zjechał do Stambułu, bo wolał być sekretarzem pułku kozaków otomańskich, niż stałym sekretarzem Instytutu Francji”, kiedy Sadyk Pasza—Czajkowski ze szczupłą garstką Polaków szedł w sukurs armii tureckiej.

Uroczystości polsko-tureckie w Konstantynopolu w d. 17 sierpnia miały właśnie upamiętnić tę wielką datę dziejową, uczcić tych ochotników polskich, którzy polegli śmiercią mężnych w kampanii krymskiej, a przede wszystkim złożyć hołd temu, który zgonem swym w dalekim Stambule, jak żołnierz na wyłomie, dał prawdę słowom swoim natchnionym a szczytnym: „I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu, jeżeli poległ ciałem dał innym szczebel do stawy grodu”...

Zaczął się od nabożeństwa w kościele Najświętszej Maryi Panny, gdzie spoczywają snem wiecznym tułacze polscy, a potem zdumionym oczom mieszkańców Carogrodu przedstawił się widok nie-

zwykły, niezapomniany. Szli włością polscy z Adampola z rozwianymi sztandarami w spracowanych dłoniach, za nimi dostojnicy tureccy w kapiących



S. T. Gasztowtt, reprezentant „Związku wychodźstwa polskiego” w Konstantynopolu, główny inicjator uroczystości polsko-tureckich w Stambule.

złotem mundurach, sunęli duchowni mahometańscy długim szeregiem, nie brakło i przedstawicieli narodu polskiego, a wśród nich na pierwszym miej-

scu p. T. Gasztowtt, główny inicjator tej świetnej uroczystości, a popołu z nimi starzy weterani broni tureckiej, uczestnicy kampanii krymskiej.

Cały ten barwny tłum, wśród którego wyróżniają się członkowie delegacji tureckich, tatarskich, perskich, georgijskich, kaukaskich, ciągnie przed dom, gdzie w roku 1855 przemieszkiwał i zmarł mistrz słowa polskiego. Następuje uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej, wmurowanej staraniem młodotureckiego „Komitetu Jedności i Postępu”, którego zasługą jest przyprowadzenie do skutku tego święta zbratania „giaura” z „bisurmanem”. Napis na tej tablicy, umieszczonej obok dawnej polskiej, brzmi, jak następuje:

„Poeta i wielki patriota polski Adam Mickiewicz, przyjaciel Turków. Komitet turecki Jedności i Postępu 10 lipca 1909 r.”.

Po właścicielu domu mickiewiczowskiego, Polaku, drze Marcinie Ratyńskim, wchodzi na mównicę Salaheddin Bej, przedstawiciel Komitetu Jedności i Postępu, po nim Hassan Effendi, hodża, profesor uniwersytetu. Płyną wyrazy gorące, świadczące o szczerem umiłowaniu sprawy polskiej przez przedstawicieli odnowionej Turcyi.

Dziękczynna mowa p. T. Gasztowtta pod adresem Komitetu Jedności i Postępu, oraz odczytanie licznych, ze wszystkich dzielnic Polski nadesłanych telegramów zakończyły ten piękny dzień polski w Konstantynopolu, którego równemu nie znały nasze dzieje porzobiorowe.



Przed wejściem na wystawę.



Księżackie dziewczuchy dzielą się wrażeniami.



Księżacy—dwa pokolenia.



Łowiczanka przy zdjęciu:—Kiej nie chcę, bo grzych.

## W blasku Jasnej Góry.

### I.

W blasku... a choć dzisiaj niejednen cieniem myśli nazywa, wiarę,—skarb uczuć, gdy jednak zakolysze się tłum stutysięczny, na kolana pochyli, a przez świątynię, przez błonia pójdzie jakby wichru westchnienie—drgnie serce i w nim.

I choćby ci, panie, za chwilę, uśmiech sztyderstwa usta wykrzywił, w myślach zostanie odczucie, że jednak... jednak... jest moc, a co nieznajdźniejsze dla duszy, złowrogość w tem pobożnem westchnieniu.

Zaczem zostaw ich, panie, i nie drwij, bo, jeśli blasków słońca i ukojeń serdecznych niema wiara dla ciebie, są w niej płomienie błyskawic i potężny, jak burza, gniew tłumu.

A gdy procesyą lud spłynie z kościoła na świat, gdy barwna fala już ruszy, a zaszumią chorągwie i rozjęknie śpiew, jakby łkanie, chwilami wznoszące się wysoko nad polską niziną, to znów jakby do ziemi przypadnie i w rzewnem zawodzeniu szłocha, gdy myśl stu tysięcy natchniona błogość ogarnie, a w duszy człowieka, na uboczu, coś zamrze na chwilę, coś zartzepocze, jak wielki, jasny ptak, i w myśli rozbrłyśnie cud wyzwolenia, nie stać cię wtedy, postępowy panie, na drwiny, mniesz czapę w garści, gotów jesteś się żegnać, gdy serce uderzy na trwogę.

Lecz oni przejdą spokojni, rozśpiewani. godni, w duszę panu nie spojrzą, nie ządępczą pana.

\* \* \*

Spadła na Polskę plaga ludzi burzących. Odnowiciele, nie bojowników z wiarą w posłannictwo dobra i szczęścia, idących z mieczem, ofiarą czy wiedzą, lecz z pustym, cudzym wyrazem na ustach: *Kultura!*

Martwa dla nich jest przeszłość, wartość pamiątek—dziwactwo, i obcy Bóg, a gdy człowiek coś kocha, w coś wierzy, ceni przeszłość w narodzie, rodzie, czy rzeczy, *niekulturalny* jest człowiek.

Tym nowym ludziom stara Jasnogórska świątynia nie mówi nic, śpiewa jednak zacofa-



Miechowiacy.

nej duszy o wszystkich czarach tego, co było o dniach sławy i męki.

Ileż to ofiar ze krwi i złota złożyła „zawsze potrzebującej ojczyźnie” można, szczodra pani, świątyni polskich Królowa, głosząca i słowo Boże, i bliźniego miłość, a podczas groźna, spowita w dymy prochowe, huczy zgiełkiem orężnej czeladzi i śpieszy lud zbożny na obronę klasztoru, a ufny w zwycięstwo, boć to przecie wiadomo, że płaszczykiem kościoł ochrania, działa rychnuje Maryja Panna.

I dziś, po stu latach ciszy, grzmia u podnóża świątyni armaty. Z rekwizytów p. Przybyłko. „Obrona Częstochowy” w teatrze.

A wiele spraw polskich w tem podobieństwie i w tymże stosunku zjawiska.

\* \* \*

Z blasków Jasnej Góry wyłonił się cud. Cud pracy—wystawa.

Na smutnej ziemi, udrećzonej przez klęski ostatnich lat, powstała ona, jak po burzy kwiecie różane, jak na roli, głęboko wzruszonej, tan zboża, czerpiący życie i moc z wydartych żywej ziemi skib.

Jak obrzymi kwietnik, jarzy się w słońcu, w barwnych pawilonach zwarta, a zimne blaski, surowość linii, jaskrawość ludzkich pomysłów łagodzi dobra czarodziejka—przyroda: kępy drzew o zwichrzonych obrysach tulą do siebie ostry szczyt gmachu, na zjadliwą zieleń i żółtość schodzą ciepłe, szare odbicia, nudę „secesyjnego” okna przerywa kręty pień brzozy, po sztywnej galeryjce bluszcz pnie się, a ze

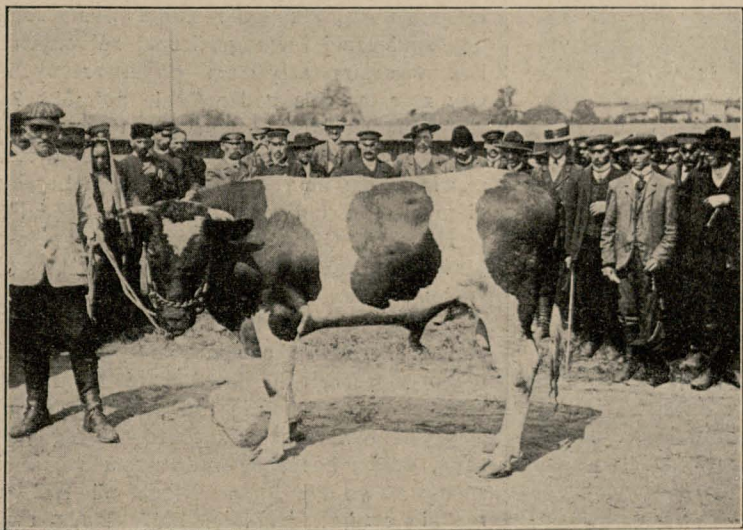
## Z WYSTAWY CZĘSTOCHOWSKIEJ.



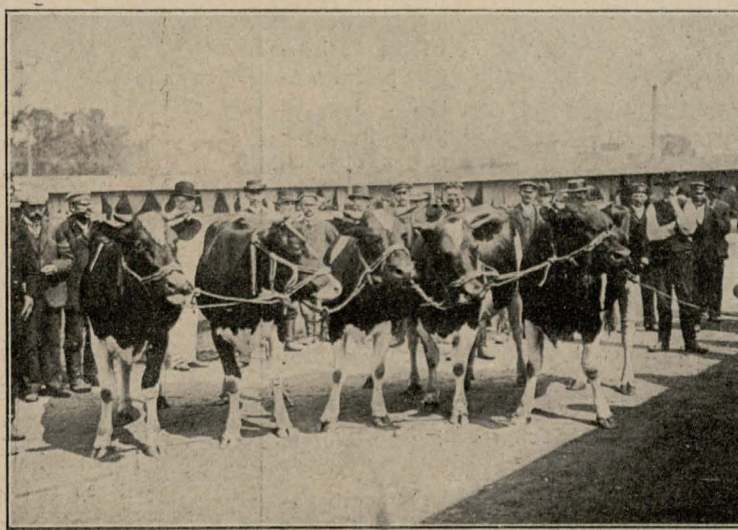
Z pod Radomska.



Podlasiaki.



Młody buhaj szwedzki.



Bydło z Nasbyholm (Szwecya).

smutnego, szarego, jak grób, kiosku śmieją się jasne oczy słonecznej blondynki...

Najsmutniejszy budynek, gdy sam. Wyrósł na pustej przestrzeni twardą wieżycą, lub na słupach rozparty szeroko, drzewom i kwiatom i słońcu urąga, niby bezduszny fabrykant, który nic poza własnym wyrobem nie widzi, drwi z otoczenia w tem przekonaniu, że złoceniem literami solidnej firmy zgębni każdą twórczą pracę artysty.

Taki właśnie uderza na wstępie. W poprzek drogi się rozsiadł, dwie wieżycy ma z boków, na cztery strony świata niemieckimi okienkami spoziera, a coś z duszy rosyjskiej w fasadzie, zaś całość międzynarodowej barwy cynamonem upstrzona.

Ale—towarzystwo akcyjne.

I wiele brzydkich, choć drogiech, i bodaj że właśnie najbrzydsze te drogie, a zdawałoby się przecie, że, jeśli stać kogoś na kosztowny materiał, na opłacanie przedsiębiorcy, stać go na mniej kosztowną, często bezpłatną poradę artysty.

A jak można z wdziękiem połączyć użytek, niech służy tamże wzór włościańskiej zagrody, a drugi jej projekt i trzeci dom sztuki i kilka innych, wybijających się życiem z tej martwoży ludzkich pomysłów.

W zagrodzie, w tym najpiękniejszym okazie wystawy, jest dusza, myśl, rozum, i jeszcze jest polskość. Lecz nie ta, z zakopiańskiego rodzaju zapożyczona, strojna w linie pierwszego

cesarstwa i w wymyślnym meblu, jako tworzywo swojskiego stylu, podana, lecz z polskiej duszy bezpośrednio płynąca, na polskiej nizinie poczęta, bez pomocy fantazyi ludu górskiego i dostosowania obcej kultury.

\* \* \*

Wstęgą wije się lud poprzez jasne ulice wystawy.

Zwija, rozwija się wstęga i coraz to nowym blaskiem barw w słońcu migocze.

Ano przodem wyrwywny, w krańcach kierezyjach, w pawich piórach naród, aże mroczy strojny. Rosły, nierosły, ale za to figurny, a choć kiep do roboty, nie umorzy go, nie, złota ziemia krakowska.

Z nimi roste prozowickie chłopcy, zaś

w kupie, to „jaka” czerwona, to niebiesciuchna sukmana od Janowa ludzi, to biała „kopka”, to znów chłop cały czarny z pode Skierniewic, albo i kurpiowska nędza rogata, a pobok jakby garścią makowego kwiatu cisnął—kujawiańskie dziewczki. Dzwon w nich, kiedy idą i chwarszczą wstęgi, a wiaterek taki za nimi, aż kieckami buja. Tam znów kraciaste, czerwone, z pod Sieradza „dziauchy” idą wstydliwie, lecz wiadomo, że zdradne, a wej kupą się zbity płochliwe jakieś, ale już bardzo urodne.

— Z daleka—ście?

— My ojcowskie dziewczuchy.

— To—sta się bez matki rodziły...—i już się rozbiegły, jak te jałówki, kiedy zbytny pies między nie skoczy.

Siła tego grzechu przewala, i niewiada, za którą oczy obrócić, ale już najbardziej do smaku, do gustu—księżacka dziewczucha. Bo to i sama w sobie, obsadnia, nie delikatna i grubej kości, i w mięsie, samo prawie do swojego pożytku.

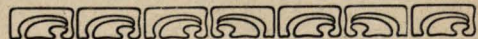
— Hej, hej! Żeby mi taką do owej zagrody, a gadziny po dwoje... — śmigły Mazur w głos marzy, i aż zaparł sukmanę.

— Jeszcze serce wyskoczy, a potem kaj szukać po świecie?

ZYGM. BARTKIEWICZ.



Towarzystwo urzędzeń szkolnych i pomocy naukowej „Urania”, na wystawie częstochowskiej.



## WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

*Pieśni syberyjskie, przeniesione żywcem z kopalń i kazamatów na estradę koncertową. — Nadzwyczajne odkrycia Hartevelda. — Będzie żałowanie... po niewczasie. — „Śpiew łabędzi”, trzyaktowa komedia Duvala i Roux. — „Szubrawiec”, sztuka trzyaktowa C. Ks. Jankowskiego. — Wznowienie „Małego Fausta”.*

Wilhelm Harteveld, szwedzki muzyk-kompozytor, rodem ze Sztokholmu, a dobrze znający język rosyjski i Rosyę (operę jego, osnutą na tle prześlicznej noweli Turgeniewa: „Pieśń tryumfującej miłości”, wystawiono z wielkim powodzeniem w Moskwie), odkrył świeżo złotą żyłę muzyczną. Dotarł do kopalń karnych i kazamatów syberyjskich (trzeci po Kennanie i Doroszewiczu) i ponotował z wielką ścisłością pieśni chóralne, lub na głos pojedynczy z chórem, śpiewane tam przez zesłańców, katorżników lub waleśających się po tajgach i tundrach t.zw. „brodiagów”...



Wilhelm Harteveld.

Zdawałoby się: rzecz niewarta fatygi, a cóż dopiero mówić o trudnościach i zabiegach, którym się Harteveld oddawał.

Otóż, — kto pieśni tych nie słyszał, przypuścić nawet nie może, ile w nich samorodnej wyrazistości oryginalnego arcyzmu, niemiłosiernego nastroju i do głębi wstrząsającego, często dzikiego uczucia.

Są to, krótko mówiąc, w swoim rodzaju — arcydzieła.

Któż je komponował tam, w katorżnej gehennie? Odpowiedzi ścisłej nie dać. Niektóre z tych pieśni przechodzą, jak spuścizna, od niepamiętnych czasów z pokolenia na pokolenie katorżników; nikt nie powie, kto melodyę ich ułożył; może z biegiem lat ulegały modyfikacyom. O innych przechowała się legenda, że nauczył ich towarzyszy swoich jakiś słynny bandyta, np. Stienka Razin, Karmeluk, lub Wańka Kain. Jeszcze o innych chodzą wieści, że przynieśli je z sobą do więzień i kopalń syberyjskich zesłańcy polityczni, ci z Polski, owi z Kaukazu... Tak np. spisał Harteveld pieśń „polską”, śpiewaną do dziś dnia po rosyjsku w kopalniach nerczyńskich, gdzie każda swą odbywali rodacy nasi po bitwach pod Wawrem i Ostrołką.

Straszne, nieopisane rozpaczne, to znowuż wyuzdanie zuchwałe, lub bezgranicznie tęskne pieśni..

Uprzotomnijmy sobie tę wielką mnogość t. zw. „inteligencji”, wędrującej rok w rok w głąb Syberii, szlakiem zesłańców. Studenci, duchowni prawosławni — mocno muzykalny lud. A no i włościanie z Ukrainy, lub nawet z Wielkiej Rosyi, gdzie lud wiejski tak niepowszednie pieśni sam układa.

Oto i twórcze elementy tej nadzwyczajnej „muzyki syberyjskiej”, przepojonej jedyną chyba w świecie atmosferą lokalną.

Prawie wszystkie pieśni te — chóralne, *à capella*. Instrumentów muzycznych więziom mieć nie wolno. Tedy śpiewy niektóre mają tylko akompaniament, również niepowszedni: brzęk kajdan, oraz grę na grzebieniu. Czasem pomysłowość artystyczna kompozytora, lub kompozytorów pieśni znaczący takt melodyi — uderzeniem w rydło lub oskardy.

Oto głos solowy, na tle chóru, zawodzi np. taką pieśń z Nerczyńska rodem:

Wstanę — hej! — gdy wzejdzie brzask na niebo,  
I przeżgnam pierś, szeroką pierś,  
I z latarnią, z rydłem w szyb się spuszcze  
Matkę — rudę — hej! — matkę — rudę ryc!

I drgnie wówczas chłodna matka — ziemia,  
Gdy głęboko rydł mój ją dźgnie;  
Jęknie ziemia — matka, jak raniona,  
Pod obuchem jęknie ziemia — mać!

Ciężko dysze pierś, jak w kleszcze wzięta,  
Wokrag mrok — i cień — i w noc i w dzień...  
Czasem zda mi się, że już umarłem  
I żem dawno pogrzebany już.

A oto znowu „brodiaga” syberyjski, zbieg więzienny, pędzi, uciekając przez tajgę, w zamieć śnieżną:

Oj, ty tundra bezbrzeżna, bez końca,  
Oj — oj —  
Oj, ty tajga bez końca, bezbrzeżna,  
Oj — oj —

Ha przełaj  
Z toporem  
Idę sam!  
Chład — dy!

Wicher pędzi, wicher jęczy,  
Czarne chmury niebem gna.  
Nu, — jęcz; nu, — wyj...  
Co mi tam!  
Ha! ha!

Psia krew! Wlecze się ktoś drogą —  
Ręce skaczą... wokrag nikogo...  
Oj, dogodzę mu po drodze!  
Zwałę z nóg!

Strach przede mną idzie w lud.  
Niech mi nikt nie lezie w garść!  
Strzeż się! trzymaj — pręż się — mocuj,  
Co masz si!

Krwawe mirażę snują mu się przed oczyma poprzez zamieć śnieżną. Brnie dalej — dalej — i śpiewa: „Do „Rassiei” gdy się dostanę, wówczas wszystkie stare porachunki zgładzę — porachuję się — z lichwą oho! z lichwą oddam, co się tam komu ode mnie należy!...”

Straszne widmo.

Nie koniec na tem. Harteveld wziął też pieśni rozmaite z ust syberyjskich autochtonów, Samojedów, Ostyaków, Ajnosów etc. Ponotował modlitwy, zaklęcia, inwokacje szamanów i lamaitów. Te ostatnie stoją już na wężkiej linii, oddzielającej „muzykę” od krzyku lub jęku. A wszystko to okrutnie dziwne, niebywałe, przejmujące. Niektórym śpiewnym inwokacyom towarzyszy gong.

Lecz jakże Harteveld „zaaranżował” cały ten plon wyprawy swojej? Poprostu: rozłożył go na głosy, i pierwszy lepszy chór wykonać teraz może jak najściślej pieśń każdą. Chodzi tylko o dokładne wyszkolenie śpiewaków, nieprzywykłych do tego rodzaju popisu.

Z wyprawy swojej wrócił dzielny zapaleniec, artysta do szpiku kości, obecnie w sile wieku będący (lat czterdzieści kilka), w roku ubiegłym, a w styczniu roku bieżącego zaprodukował po raz pierwszy w Moskwie pieśni, o których mowa.

Wrażenie wywarły ogromne. Zainteresował się nimi wielce sam p. prezes Rady Ministrów, Stolypin. I Harteveld, nie zwlekając, zorganizował *tournee* śpiewaczą po Europie, dobrawszy sobie za towarzyszy dwóch znakomych śpiewaków, oraz śpiewaczkę dla głosów solowych. Przyjeżdża do danego miasta; wyucza pieśni swoich co lepszych chórzystów operowych miejscowych i daje parę koncertów (jeśli tak je nazwać wolno), w połączeniu z krótką, własną, objaśniającą prelekcją.

Takim rzeczy składem przybył Harteveld dziesięć dni temu do Warszawy i dał dwa „koncerty” w Teatrze Wielkim.

Ponieważ jednak rubryka „Teatr i Muzyka” w prasie warszawskiej zajęta była akurat gęstymi „wzmiankami” o Momusie i Chochliku, przeto żadna usłużna wzmianka nie wskazała publiczności naszej drogi do Teatru Wielkiego, i publiczność nasza — pieśni syberyjskich nie słyszała.

Teraz już tylko nadbiegnie nad Wisłę ich... rozgłos — *via* Paryż i Londyn.

Myszę, że nie będzie to wystarczającą rekompensatą.

Rozpisałem się o Harteveldzie. Braknie mi miejsca bodaj dla podkreślenia wartości muzycznej, społecznej i etnograficznej zebranych przezeń i z wysokim arcyzmem poodtworzonych pieśni. Czy resztą takie podkreślenie potrzebne?

Bieda przeto z tem już tylko, że oto już chyba stylem telegraficznym będę mógł zanotować: zjawienie się na repertuarze Teatru Letniego sztuki pp. Roux i Duvala „Śpiew Łabędzi”, debiut w Małym p. C. Ks. Jankowskiego (trzyaktowy „Szubrawiec”), oraz wznowienie „Małego Fausta” w Nowościach.

„Śpiew łabędzi” — sztuka zręcznie i wprawnie napisana. Ześrodkowana cała w roli 55-letniego margrabiego de Sambré (p. Leszczyński), który z wytrzymałością i blaskiem, godnym „starej gwardyi” towarzyskiej z czasów Drugiego Cesarstwa, odbija kochankę rodzonemu zięciowi, aby... zachować go dla żony. Niech mi tylko nikt zaraz nie cytuje... Ugolina, który zjada swych synów, aby zachować im ojca! Margrabia de Sambré kocha córkę nad życie i czyni dla niej rzetelne poświęcenie. A że z piękną Jessy Cordier nieprzykro spędzić sam na sam cały akt drugi, łącznie z epilogiem — za sceną, upatrujmy w tem jedynie nagrodę przynależną nocio i zasłudze.

Będzie to morał odrobinę... paryski, ale też i sztuka typowo paryska.

Gra w wielkim stylu p. Leszczyńskiego i p. Pichorówny stanowiły główną atrakcję „Śpiewu łabędzkiego”.



Scena z obrazu II aktu III „Małego Fausta”.

Młody poeta i dziennikarz, dopiero wchodzący na scenę literacką, p. Jankowski, dowiódł w swoim „Szubrawcu”, że potrafi prowadzić całkiem poprawny „dIALOG” sceniczny. Na początek—i to dobrze.

Dlaczego wreszcie wznawiono właśnie „Małego Fausta”, operetkę niesmaczną, a muzykalnie marną, dociec trudno. Jednakową omyłkę popełniono, wznawiając „La veuve du Malabar”, lub inny jaki operetkowy wodewil Hervé’go, o którym dawno pamięć zaginęła.

Był czas, między 1850 a 1860 rokiem, gdy współzawodniczyły ze sobą w Paryżu dwa przybytki „lekkiej Muzy”: Hervé’go (Florimonda Rongera) Folies Concertantes (późniejsze Folies Dramatiques) i Offenbacha Bouffes Parisiennes. Lecz Offenbach zdystansował swego współzawodnika na wszystkich polach—i, doprawdy, niema dobrej racji przekonywać nas raz jeszcze o tem... w Nościach.

Płaskie, karykaturalne bufonady Hervé’go z roku 1869 niewarte były starań i kosztów, poświęconych ich wskrzeszaniu. Tem bardziej, że świetna śpiewaczka, p. Messalówna, nie może podołać aktorskiej interpretacji Mefista. Co było do przewidzenia.

CZ. JANKOWSKI.

## Wyścigi powietrzne w Reims.

Specjalna koresp. Tygodnika Ilustrowanego.

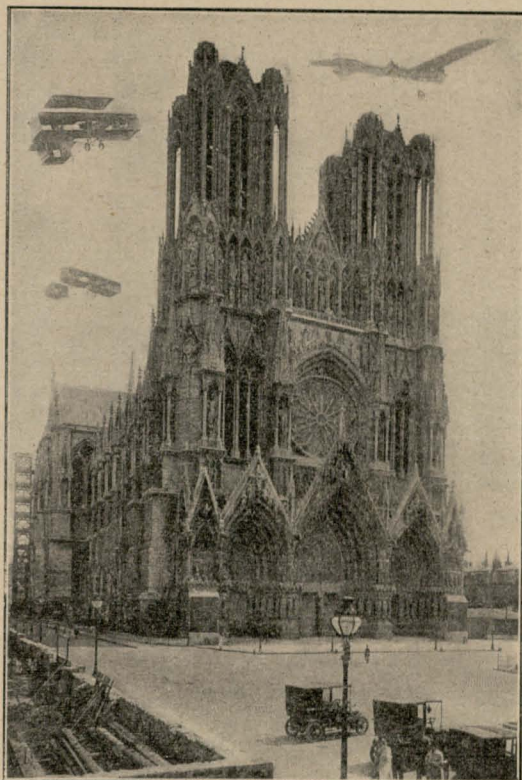
Pociągi, idące do Reims, tłum bierze szturmem. Odchodzą co godzina, przeważnie podwójne. Pogoda jest niepewna i nastrój gorączkowy. Wszyscy rozprawiają o aeroplanach i awiatorach z tym specjalnym odcieniem znawstwa, czerpanego z *Petit Parisien* i *Petit Journal*.

Dojeżdżamy do Reims. Ruch ogromny. Wszystko tonie w trójkolorowych chorągwiach Republiki: dworzec, domy, automobile, słupy, latarnie. Całe miasto mieni się falującymi flagami i gałęzmi sośniny. Na ulicach tłumy przyjezdnych. Czytają ostatnie afisze komitetu wyścigów i rozprawiają o pogodzie.

— Czy będą latali? Jaka chorągiew na placu Republiki?

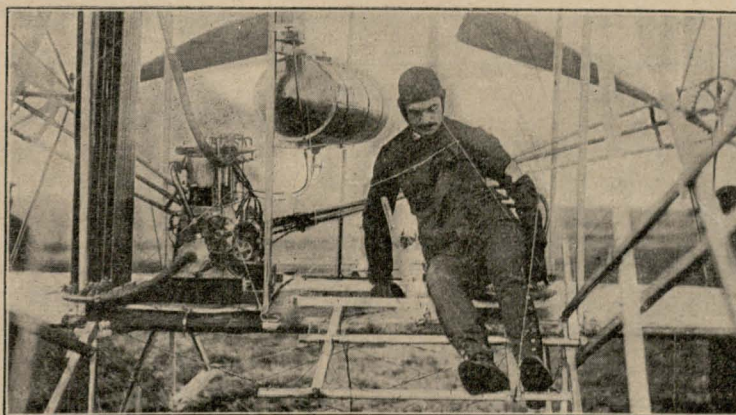
Komitet ogłasza program sygnałami kolorowymi; chorągiew czarna oznacza złą pogodę i zawieszenie widowiska, biała podjęcie, czerwona lot w toku.

W sobotę lał deszcz cały długi, mroczny dzień. Szerokie pole wyścigów w Betheny pod Reims zamieniło się w moczary. Nazajutrz od rana wiał wiatr, i spadł deszcz kilka razy: publiczność jest zdenerwowana. Program zapowiada zapasy między awiatorami francuskimi o przedstawicielstwo Francji w konkursie Gordon-Benneta. Jak wiadomo, każde państwo może mieć tylko trzech przedstawicieli. Kwestya jest dosyć roznamiętniająca. Staje do konkursu trzynastu awiatorów. Miano zacząć o 10-ej rano, ale na placu Republiki powiewa czarny sztandar: wiatr jest za silny i uniemożliwia rozpoczęcie lotów.



Wzlot aeroplanów ponad katedrą w Reims.

Mimo to tłumy ciągną wszystkimi drogami prowadzącymi do Betheny. Pewne drogi zarezerwowano wyłącznie dla automobilów, których niesłychana ilość uwija się po mieście.



Lefebvre szykuje się do odlotu.

Komitet, w braku czego lepszego, porozklejał na przydrożnych klonach i osikach ogłoszenia ze strzałkami i ostrzeżeniem: „droga dla automobilów, bardzo niebezpieczna dla pieszych i cyklistów”.

Wokół pola mrowi się tłum wielotysięczny. Wiatr osłabł nieco, i na wysokim słupie koło pawilonu chronometrów wywieszono białą chorągiew. Zaczynają się nieudane loty, bo wiatr jeszcze jest za silny i co chwila rzuca na ziemię podnoszące się w powietrze aeroplany.

Z ogłoszonych później rezultatów dowiadujemy się, że Blériot i Lefebvre przelecieli minimum drogi, dające prawo przedstawiania Francji w konkursie Gordon-Benneta. Trzecim przedstawicielem ma być ten, kto zwycięży w następnym punkcie programu: nagrody za szybkość.

Po południu zaczynają napływać nieprawdopodobne tłumy. Na placu ciągle chorągiew biała. Drogi roją się. Wzdłuż nich pełno przekupniów, afiszów, bud kawiarnianych z całym taborem ławek i stołów. Nieustanne beczenie automobilów. Mała sapiąca kolejka, funkcjonująca specjalnie przez czas wyścigów, wylewa ze swych drobnych wagoników czarne mrowie.

Znowu zaczynają się nieudane wzloty. Ale wiatr się wzmacnia. Czarny zwał chmur rośnie od horyzontu i zakrywa słońce. Już nikt nie lata. Na tle nieba sinem i groźnym trzepocze się ciężka biała sztandar.

Nastrój się psuje. I czem są te wszystkie aeroplany! Lada podmuch wiatru, lada deszcz większy—i człowiek jest znowu tylko przyziemną mrowką, jak owe królowe mrowisk po straceniu skrzydeł. Na ten temat trybuny widzów prowadzą gorzkie rozprawy. Kilka zwinnych jaskółek szybuje swobodnie. Daleko nam jeszcze do tego!

Lunęła ulewa. Krajobraz nabiera charakteru holenderskiego: dużo wody, zatopione pola i wielki spokój.

Po pewnym czasie deszcz rzadnie.

Zielone, łagodne światło sączy się z poza chmur, złoci powietrze—i jest cicho, cicho. Ani śladu wiatru.

I nagle—od strony hangarów wybucha warczenie motoru.

Wylatuje monoplan „Antoinette” Latham. Odrazu wznosi się na jakie pięćdziesiąt metrów i leci, jak smukły, ogromny konik polny, albo lekka szarańcza. Motor brzęczy gdzieś z góry. Burza oklasków porywa się z tłumów. Potem dwuplan—jeden, drugi, trzeci, jakby spłoszone ptaki, wylatują aeroplany, zataczają kręgi ogromne, nikną het na horyzoncie, wracają znowu. W pewnej chwili jest ich około dziesięciu w powietrzu.

Tłum wre entuzjazmem. Zapomniał o całym dręczącym oczekiwaniu, o ulewie, o głębokim błocie, w którym toną nogi. Widzowie z „pelouse” zawsze biorą życie najmniej tragicznie i radują się najwięcej.

Słońce zachodzi. Aeroplany złocą się od spodu.

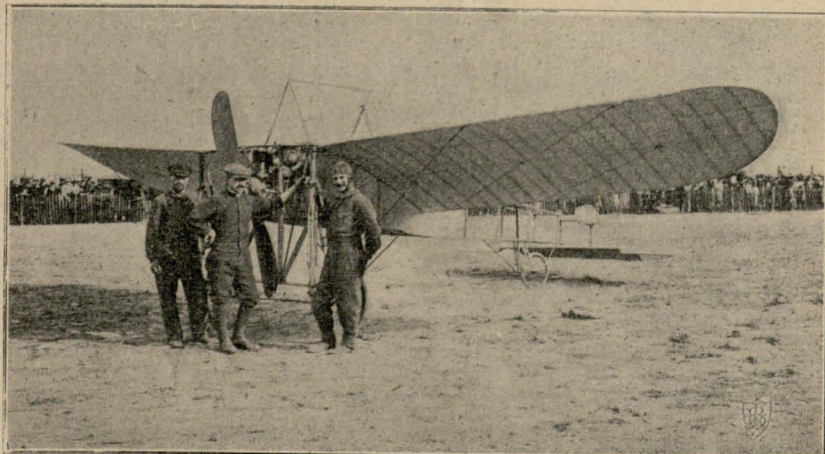
Niektóre lecą razem, jak dwa jastrzębie, igrające w powietrzu.

Wracamy do dalekiego Reims. Pierwszy dzień skończony. Blériot, Lefebvre i Latham będą przedstawiali Francję w konkursie międzynarodowym aeroplanów, który rozegra się w sobotę 28-go b. m.

W dalszych wzlotach największą liczbę nagród zdobyli: Farman, Latham i Curtiss. Dis.



Trybuna widzów.



Aeroplan Blériota, prowadzony przez Leblanc'a.



Stanisław Czarnowski.



Cypryan Godebski.



Konstanty Laszczka.



Roman Lewandowski.



Antoni Madeyski.

## Konkurs rzeźbiarski.

Komitet budowy pomnika Andrzeja hr. Potockiego, złożony z pp.: Jana Bołozza Antoniewicza, Adama Krechowickiego, d-ra Władysława Łozińskiego, d-ra Jerzego hr. Mycielskiego, d-ra Leona hr. Pinińskiego, Stanisława Reichana, d-ra Tadeusza Rutowskiego i d-ra Maryana Sokołowskiego, zamiast ogłosić konkurs otwarty, zwrócił się do kilku wybitnych artystów-rzeźbiarzy polskich z prośbą o uczestnictwo w ograniczonym konkursie.

Zaproszeni zostali pp.: Stanisław Czarnowski, Cypryan Godebski, Konstanty Laszczka, Roman Lewandowski, Antoni Madeyski, Jan Szczepkowski i Wacław Szymanowski.

Warunki konkursu są następujące: pomnik ma być wykonany z brązu i kamienia; stać będzie we Lwowie na t. zw. Wałach gubernatorskich, naprzeciwko gmachu namiestnictwa; w postaci Andrzeja hr. Potockiego ma być zachowane podobieństwo portretowe, a ma być przedstawiony w stroju polskim.

Termin nadsyłania modeli upływa 1-go kwietnia 1910 r. Przyjęty model będzie poroczony do wykonania twórcy w granicach kosztorysu 120 tys. koron; prócz tego trzy modele, uznane za najlepsze, będą przez komitet zakupione za cenę tysiąca koron za każdy.

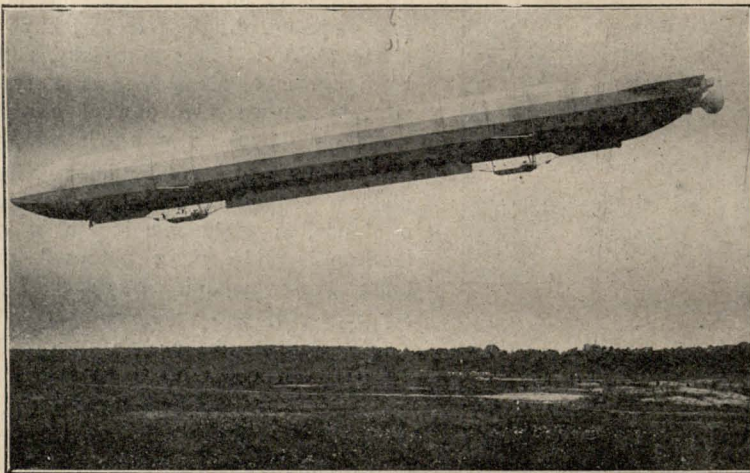


Jan Szczepkowski.

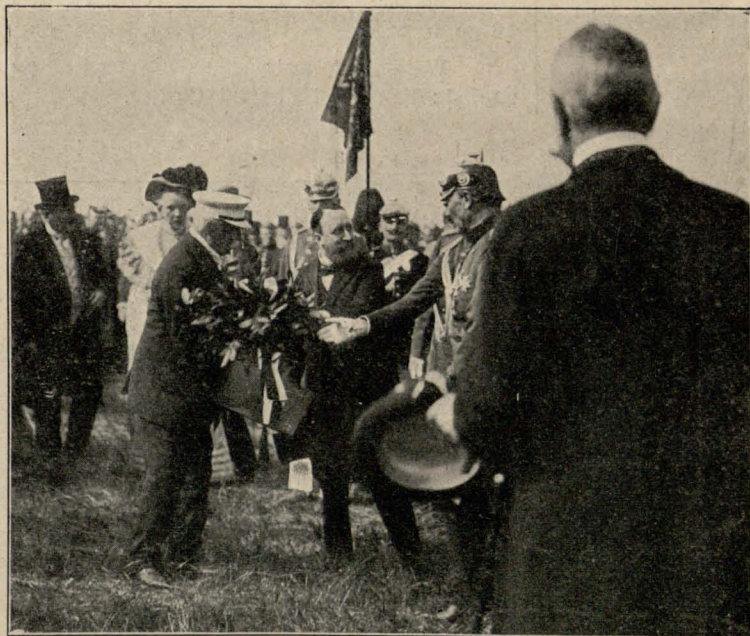


Wacław Szymanowski.

### PODRÓŻ „ZEPPELINA III” DO BERLINA.



Balon „Zeppelin III” w drodze.



Powitanie hr. Zeppelina przez cesarza Wilhelma.

### Podróż „Zeppelina III” do Berlina.

Podróż próbna „Zeppelina III” z Friedrichshafenu do Berlina, odbyta w ciągu trzech dni (27—29 b. m.), niezbyt świetnie wydała wyniki: balon w drodze uległ przypadkom, spóźnił się o jeden dzień, a w podróży powrotnej tak się uszkodził, że będzie wymagał gruntownej naprawy. Dzień tryumfu awiatyki niemieckiej jeszcze nie nadszedł.

### Z powodu rocznicy Słowackiego.

Komitet obchodu setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego we Lwowie przystąpił do prac, by upamiętnić należycie ten jubileusz. Przedewszystkiem wydana będzie „Księga pamiątkowa Juliusza Słowackiego”, w trzech lub czterech tomach objętości co najmniej 200 arkuszy druku, na którą złożą się rozprawy o życiu i twórczości poety, napisane przez profesorów gimnazyjów i szkół realnych galicyjskich. Wydał też komitet busty autora „Anhellego”, według znanego naszym czytelnikom projektu, który wyszedł z pod dłota znakomitego artysty, Wacława Szymanowskiego. Wreszcie zajął się komitet wydaniem nalepki artystycznej dla iluminacji kartkowej. Wzór do tej nalepki wykonał utalentowany artysta, Piotr Stachewicz.

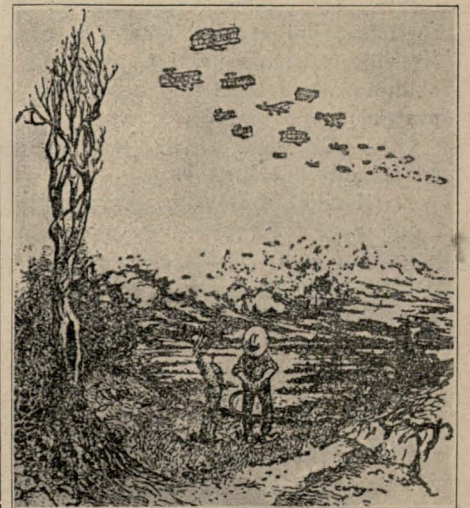
Pod tytułem „Pamięci J Słowackiego” firma wydawnicza Gebethnera i Wolffa ogłosiła oktet na chór mieszany z towarzyszeniem fortepianu, lub bez niego, z opery Adama Minchejmera „Mazepa”, ułożony na chór przez Piotra Maszyńskiego.

### Pokłosie wydawnicze.

Franciszek Jerzy Galiński. Wnętrze, poezye, Warszawa—Kraków, 1909.

„Wnętrze” ma oznaczać zapewne, że za pośrednictwem tych poezji możemy zajrzeć w głąb duszy poety, dowiedzieć się, co myśli i czuje. Ale, jakby naprzekór tytułowi, cała istota twórczości p. Galińskiego jest na zewnątrz: nic w niej nie przemawia do serca, chociaż olśniewa czy błyskotliwością formy. Wszystko to zrzeczne i dźwięczne, ale zimne i — sztuczne. Więc cały cykl sonetów, misternie wiązanych, potem znów jeszcze pięć sonetów, dalej ghazele, ronda równym idą szeregiem, jak dobrze wymustrowani żołnierze. Piękne, piękne wiersze... I chciałoby się zaświecić latarkę Dyogenesa i wśród tyłu wierszy szukać — poezi.

### Z HUMORU FRANCUSKIEGO.



W ROKU 1912.

— W tym roku, mój synu, zima będzie ciężka, bo oto już druga partya bogaczy odlatuje na południe.

Najlepsze **Kakao, Czekolada, Cukry deterowe** **J. FRUZIŃSKI.**

„**ŚMIECH**” Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

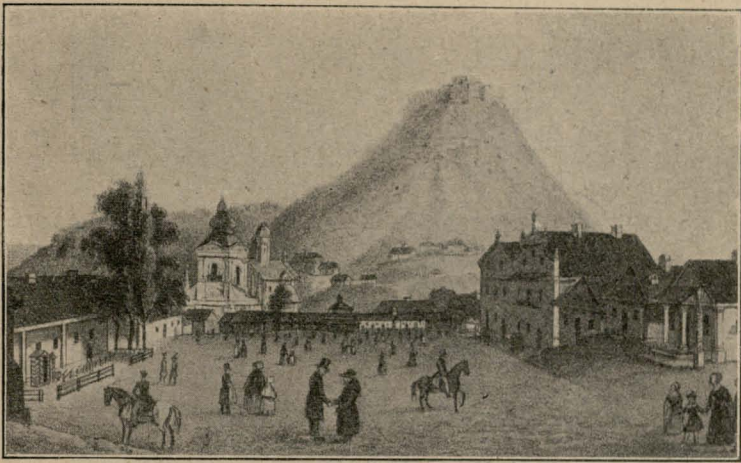
**LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.**

Niniejszem podajemy do publicznej wiadomości, że **WODY MINERALNE SZTUCZNE** wyrobu **WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR”** ZAOPATRZONE ZOSTAŁY W NOWE ETYKIETY, zatwierdzone przez Ministerium Przemysłu i Handlu Zarząd.

WYKWINTNE OBUWIE DAMSKIE **I. FILIŃSKI** Marszałkowska 153.

**PIWO DROZDOWSKIE** marcowe, kuracyjne sprzedawane wszędzie.

**Najlepsze perfumy, mydła i wody kolońskie S. J. Czepelewskiego** Żądać wszędzie.



Widok Krzemieńca (według starego sztychu).



Ze zbiorów L. Méyeta.

Domniemany dom, w którym urodził się Juliusz Słowacki.

## PLON JUBILEUSZOWY.

„Przyszłość moja! i moje będzie za grobem zwycięstwo!”, woła Słowacki w zakończeniu piątej pieśni „Beniowskiego”. On wierzył niezłomnie, że, choć za życia nie uwieczono mu laurem skroni, chociaż miał „nieme harfy i słuchaczy głuchych”, jednak pozostanie po nim ta „siła fatalna”, co zdolna jest nędznych „zjadaczy chleba” przerobić w aniołów.

To prorocze widzenie poety przybiera coraz bardziej kształty rzeczywistości. Znajomość pism autora „Anhellego”, zamiłowanie do czarodziejskich płodów jego czulej a kapryśnej wyobraźni rozpowszechnia się z każdym rokiem. Już nie tylko „Mazepa”, „W Szwajcaryi” i „Ojciec zadżumionych”, ale całokształt puścizny Juliusza staje się własnością ogółu, wchodzi w krew i ciało narodu.

Niniejszy rok jubileuszowy, przyczyni się niezawodnie w znacznej mierze do pośmiertnego zwycięstwa poety. I to nie tylko dlatego, że imię jego jest obecnie i długo jeszcze będzie na ustach wszystkich, aż dopóki nie przeminą ostatnie echa uroczystości jubileuszowych. Ta wielka rocznica bowiem pozostawi po sobie trwalszą nierównie pamiętkę nad mowy okolicznościowe, pochody, surmy i wiwaty, w postaci całego szeregu wydawnictw, mających na celu popularyzację twórczości śpiewaka „Kordyana”.

Przedewszystkiem — dwa wydania zbiorowe, o których wspominamy mimochodem, będą one bowiem przedmiotem osobnego studium na łamach *Tygodnika*.

Przedewszystkiem otrzymaliśmy wydanie popularne, a jednak, w miarę możliwości, pełne. Sporządził je i podał do druku znany miłośnik naszej literatury romantycznej, autor „Monsalwata”, współpracownik naszego pisma, dr. Artur Górski; stronę wydawniczą wzięła na siebie firma Gebethuera i Wolffa. Całość zawarła się w sześciu tomach okazałych rozmiarów (cena rb. 6, w opr. rb. 10, na welinie rb. 8, w opr. rb. 12).

W skład tej edycji, weszły wszystkie utwory, drukowane za życia poety, jak również i wydane po jego śmierci (z wyjątkiem prozy, np. „Wykładu nauki”), a prócz tego bogaty plon wierszy, zupełnie nieznanych, z rękopisów i rzadkich druków, zwłaszcza w zakresie poezji lirycznej. Wydostanie z ukrycia wszystkich autografów Słowackiego przechodziło zakres zamierzeń wydawcy.

Tę pracę żmudną wzięł na siebie dr. Bronisław Gubrynowicz, który wspólnie z dr. Wiktorem Hahnem postanowił ogłosić pierwsze zupełne i krytyczne wydanie pism Juliu-

sza, z uwzględnieniem całego olbrzymiego zasobu rękopisów, odmianek tekstu, fragmentów i t. d. Wynik ich pracy zawarł się w dziesięciu wielkich tomach dużej ósemki, których nie mała część zajmują warianty i komentarze.

Słowem, mamy tu do czynienia z wydaniem filologicznym na wielką skalę, z całym aparatem naukowym, wydaniem, które nie może i nie chce być popularnym i taniem (cena rb. 18).

Obie więc edycje, jak widzimy, równie pożyteczne, różnym służą celom i stanowią poniekąd wzajemne uzupełnienie: dla ogółu czytelników — pierwsze, dla uczonych badaczy i bardziej wybrednych miłośników poezji — drugie.

A dla maluczkich? Czyżby księgi Juliusza nie miały nigdy, jak pieśni Adama, zbłądzić pod strzechy?

I w tym kierunku uczyniono już sporo. Najlepiej bodaj wywiązał się ze swego zadania dr. Konstanty Wojciechowski. Mała książeczka p. t.: „Juliusz Słowacki, żywot i wybór pism w setną rocznicę urodzin”, stanowiąca jeden z numerów Biblioteczki Macierzy Polskiej w Galicyi, w typowej, żółtej okładce, mieści w sobie to wszystko, co dla czytelników, na tym poziomie stojących, dostępne jest z pism twórcy „Lilli Wenedy”: więc przedmowa, charakterystyka poety, ilustrowana streszczeniami i długim szeregiem wyjątków, więc w „wyborze” całość utworów takich, jak „Jan Bielecki”, „Balladyna” i „Ojciec zadżumionych”, „Rozmowa z matką Makryną”, oraz wiązanka wierszy lirycznych. Gdyby tylko nie pewna skłonność do podawania nie sprawdzonych hipotez za pewniki, książeczce tej nie mielibyśmy nic do zarzucenia.

Podobne cele popularyzatorskie zakreślił sobie dr. Wiktor Hahn, autor książki p. t.: „W setną rocznicę urodzin 1809—1909, o życiu i dziełach Juliusza Słowackiego”. Autor opowiada w porządku chronologicznym ważniejsze wypadki z życia poety, przeplatając je obszernymi streszczeniami utworów dostępniejszych („Jan Bielecki”, „Kordyan”, „Ojciec zadżumionych”, „Anhelli”, „Lilla Weneda”, „Balladyna”, „Rozmowa z matką Makryną”), oraz wyjątkami; nie wdaje się w zbyt subtelne rozbiory i charakterystyki (może nawet za mało analizy zarówno treści, jak i formy). Razi nas tylko pewna skłonność moralizatorska, wyciąganie „nauk” z pism wielkiego poety.

Przystępny ceną, ale nie przystępny treścią jest szkic jubileuszowy zasłużonego już badacza naszej literatury, dr. T. Grabowskiego, p. t.: „Juliusz Słowacki, jego życie i charakter”, w trzech tomikach, z których dotychczas ukazały się dwa: część I — młodość, i część II — lata dojrzałe. Z szeroko podmalowanym

tem obrazu umysłowości europejskiej pierwszej połowy XIX stulecia, wsparta na fundamencie badań porównawczych, świadcząca o rozległej erudycji autora, monografia dra Grabowskiego wymaga dużego przygotowania czytelnika w zakresie literatury polskiej i powszechnej, ale tyle zawiera nowych postrzeżeń i poglądów, że może być przeczytana z dużym pożytkiem przez tych nawet, którzy niejedno już studium o twórczości Juliusza poznali.

Niepodobna w krótkim szkicu wyszczególnić wszystkich szkiców, przyczynków jubileuszowych, których wiele znalazło się w nie przeznaczonych do handlu księgarskiego wydawnictwach szkolnych galicyjskich (t. zw. sprawozdaniach dorocznych). Znaczna ich część zawrze się zapewne w przygotowywanym obecnie do druku wydawnictwie zbiorowym rozpraw o Słowackim, pióra profesorów szkół w Galicyi. O wydawnictwie tem pomówimy obszernie natychmiast po jego ukazaniu się w druku. Tymczasem zaś damy wiadomość o kilku pracach, które już są w obiegu. Do takich należą np. dra Wiktora Hahna tom „Szkiców literackich o Juliuszu Słowackim”. Mamy tu zebrany przeważnie szereg drobnych rozmiarów: przyczynków do genezy i notatek. A więc o Niemojowskich i ks. Adamie Stanisławie Krasieńskim w „Anhellim”, o scenie zamurowania w „Mazepie”, o Celtach w „Lilli Wenedzie”, o przekładach francuskich i niemieckich Słowackiego, o tragedii „Wallas” i in. Prócz tego, w drugiej połowie tomu, kilka artykułków okolicznościowych.

Znany miłośnik naszej literatury romantycznej, gorliwy zbieracz cennych pamiątek po naszych wieszczach, p. Leopold Méyet, wystąpił z dwoma przyczynkami. Jeden z nich p. t.: „Kiedy się urodził Juliusz Słowacki?”, prostuje mylnie podawaną dotychczas datę urodzin wieszca. Trzeba bowiem pamiętać, że od początku XIX stulecia z tamtej strony Bugu obowiązywał kalendarz juliański. Jeżeli więc Słowacki mówi sam o sobie, że urodził się dnia 23 sierpnia, to trzeba tę datę liczyć według starego stylu. Setna więc rocznica urodzin poety przypada, według kalendarza gregoriańskiego, na dzień 4 września.

Drugi przyczynek tegoż autora, p. t.: „Słowacki i Komierowski, na podstawie listów poety”, opowiada znów epizod z ostatnich dni życia poety, z r. 1848, z czasów pobytu Słowackiego we Wrocławiu, a potem w Paryżu. Trzy listy, pisane przez Juliusza do Józefa Komierowskiego, zacnego ziemianina z pod Pułtuska, dobrego patrioty, autora kilku utworów poetyckich i publicystycznych, rzucają nowe światło na schyłek życia poety.



Powozy, bryczki i szarabany przejeżdżały pod łukiem powitalnym.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

# UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 36)

— Co znowu?!—zawołał Kazimierz gó-  
rąco — to inni wymyślili o mnie, czy dla  
mnie!

— A widzi pan... A sam, ręczę, że my-  
ślałeś o swoich niedostatecznych środkach?

— Rzeczywiście... pani Krystyna przy-  
wykła do pałaców.

— I mieszka od miesiąca w tej mojej  
chacie. Nigdy jej nie widział weselszą, bar-  
dziej zadowoloną ze swego mieszkania i z sie-  
bie samej.

— Więc ksiądz myśli?...

— Myślę, że względy pieniężne w do-  
bieraniu się małżeństw są trzeciorzędne... gdzie  
tam! na ostatnim planie. Chyba, że mają się  
pobrać przedstawiciele dwóch firm kupiec-  
kich, albo zupełni nędzarze. Kupcami nie  
jesteście, a nędzarami także nie. Przecie  
masz pan środki do życia?

— Ależ naturalnie.

— No, i bardzo silne ręce—dodał ksiądz  
z uśmiechem.— A Krystyna ma także duży  
kawał ziemi, mocno obciążony, od czego  
znowu ręce?...

— Tak, to musi się wyrobić — rzekł

Kazimierz głosem niby nakazującym, niepom-  
nym już powątpiewania.

Szedł przez chwilę, milcząc, przeszywa-  
jąc radośnie natchnionym wzrokiem krainę  
świeżą, obmytą niedawnym deszczem, jasną  
w zarysach, zdrową w zapachach; stąpił po  
niej podbójczo jakoś i miłośnie, jak dobry  
ów rycerz, który przed wiekami przyszedł tu  
bez miecza, tylko z gorącem, czynnem ser-  
cem. Ksiądz Wyrwicz spoglądał na niego  
z altruistyczną tęsknotą starszego przyjaciela,  
rojąc już przyszłość przez innych, dla innych.

— Ten jej wart, niech idą razem...

A byli już nad jeziorem; prawie że  
weszli na przybrzeżne pomosty lnu, obciążo-  
nego żerdziami i kamieniami.

— Ach! to jest len?...—przemówił Ka-  
zimierz obojętnie.

— Tak, to len—odpowiedział ksiądz.—  
Ważna rzecz, ale przedtem mamy ważniejsze.

## XXV.

Rozmarzone nad jeziorem swem Wiszu-  
ny zakwitły niebywałem życiem. Państwo

Hieronimostwo obchodzili zaręczyny jedynacz-  
ki „lautissime”, jak mówi Pasek, a to głównie  
z namowy pana Gotarda Assernhofa, który  
wytlómaczył sąsiadom, że uroczystość we-  
selną trzeba antycypować, korzystając z ostat-  
nich dni pięknego lata i imienin gospodarza  
domu, wypadających w dniu ostatnim wrze-  
śnia. Ślub, umówiony na zimę, to dla mło-  
dej pary, ale wieszować i weselić się w gro-  
nie przyjaciół będziemy teraz, póki drzewa  
jeszcze w liściu, jezioro świeci żywo, a dro-  
gi dojazdowe jakie takie. Przez śniegi kto  
tam do Wiszun przyjedzie?

Trzy dni przed zjazdem ogólnym był  
już pan Gotard w Wiszunach, pomagał do  
przystrojenia dworu wieńcami z jedliny, prze-  
plecionej jarzębiną, do ustawienia bramy try-  
umfalnej dla wjeżdżających gości, do rady-  
kalnego przewrotu całego dworu, a zwłasz-  
cza do zaopatrzenia kuchni i szpizarni.

— Wydasz, braciszku, roczny dochód  
na przyjęcie—mówił do Hieronima.—Raz w ży-  
ciu zdobyłeś się na córkę, raz też zdobę-  
dziesz się na wesele, odpowiednie splendo-  
rowi domu. A oszczędzasz przytem ban-



kiet, który nam winienes na świętego Hieronima. Dwie pieczenie na jednym roźnie! Tylko już pozwól, że ja je upiekę.

— A rób sobie, kochany, jak wiesz—godził się pan Hieronim, uradowany, że znalazł tak zapalonego wyręczyciela.

Pani Budziszowa, gospodyni przezorna i gościnna, choć ciężka, rada też była z gorliwej pomocy pana Gotarda, zwłaszcza, że Aldonkę zwolnić należało od kłopotów domowych w tej epoce dla niej przedewszystkiem świątecznej; narzeczony jej, Stanisław Kmita, znajdował się już kilka dni przed ogólnym zjazdem w Wiszunach.

Zjeżdżano licznie z dalszych stron już 29 września, na dzień kontraktowy świętego Michała; jeszcze tłumniej nazajutrz, na świętego Hieronima. Powozy, bryczki i szarabany przejeżdżały pod łukiem powitalnym, ozdobnie na kasztanach urządzonym, trafiały na owacyjne przyjęcie od podjazdu dworu i na wymówki, że tak późno, lub że brakło kogoś z rodziny przyjeżdżających.

Pan Gotard, w garniturze porannym barwy lwiej sierści, w nieodstępnych swych kryzach batystowych, przyjmował każdego niemal gościa apostrofą serdeczną i jowialną, która najospalszych pobudziłaby do sielsko-bachicznego nastroju.

A nastrój taki panował niepodzielnie w rozbawionym dworze. Trzy pokoje wstępne i oszklony ganek przerobione były na nie wysychające źródło rozkoszy cielesnych; stały tam bufety, zastawione od rana do nocy tęczową gamą szkieł pełnych, olbrzymim ciężarem ryb, mięs zimnych i epigramatycznych przekąsek. Zapachy sosów i dymy tytoniowe unosiły się w tych pokojach, jak woń weselnej hekatombi. Nie brakło o żadnej porze ochotników do kieliszka i nierozłącznej z nim przekąski; jedni stali, perorując ze świątecznym ożywieniem, inni, pomimo pięknego dnia, rozwidnionego za oknami w ogrodzie i na jeziorze, bili przy stolikach króle asami z rycerskim okrucieństwem, lub cichszym spekulacyjnym zadowoleniem.

Pływał już w tem święcie pan Apolinary, spokrewniony całą swą istotą z wesełłą Litwą. Nie grał w karty, ale tu i ówdzie „dotrzymywał kopiejkę”; nie pił, tylko przepijał; nie jadł, jednak przegryzał. Rozogniony duchem braterskim, krążył po pokojach, dawał koncert uścisków fizycznych, dla uciechy serca, i transcendentálnych, o których nie zapominał.

Rozmawiał z narzeczonym, dorodnym młodzieńcem o ciemnych, podfryzowanych kędziorach, obrazem wzorowym pana młodego.

— Kmitowie herbu Chorągwie, także jak i my, pochodzą z Korony, dobrodzieju kochany?

— Tamci byli Śreniawici—odpowiadał Kmita—ale podobno jednego z nami pochodzenia; tylko już my od wieków na Litwie i na Rusi.

— Widzę, że kochasz historię, dobrodzieju mój?

— Jak jej nie kochać!

— A wódkę pijesz?

— Piję.

— To się napijmy i uściskajmy. Jeżeli-

byś chciał w przyszłości rozpocząć coś... szerszego, pamiętaj do mnie, jak w dym, Stanisławie dobrodzieju. Zyskujesz we mnie wuja; to niby w intercyzie nie będzie wymienione, ale zobaczysz—przydać ci się może. W twoje ręce, Stachu!

Natrafił znowu w swym promienistym pochodzie na pana Ciecierowicza, archeologa, którego nie zdążył poznać w Wilnie, a spotkał tutaj, jako krewnego pani Hieronimowej. Tego trudniej było rozruszać; brodacz był najeżony i ponury, jak zubr, i na wszelkie powinowactwa i frazesy nieczuły.

— Niezmiernie się cieszę ze spotkania tak uczonego męża—mówił pan Apolinary.—Może mi pan objaśni? Zwiedzałem niedawno katedrę wileńską, i pokazano mi tam pod wielkim ołtarzem kryptę z czasów pogańskich. Pozostało nawet jakieś malowidło na sklepieniu, podobno trzech bogowie?

— Perkunas, Patrimtas i Patoldiewas—wyrecytował magistralnie Ciecierowicz.

Assernhof, który także kręcił się ciągle między gośćmi, pochwycił tę rozmowę i nie omieszkał jej ożywić:

— A mnie opowiadano inaczej. Kiedy Czechowicz malował w katedrze, miał pomocników, którzy mieszkali w krypcie pod ołtarzem. Ci w wolnych chwilach napacykowali na sklepieniu trzech króli: Kacpra, Melchiora i Baltazara.

— Co mi pan mówisz?!—zawołał Ciecierowicz oburzony—wiek czternasty! nawet twarze bogów podobne.

— Znałeś ich pan osobiście?

Archeolog zaperzył się i gotował jakąś odpowiedź miazdzącą, ale pan Apolinary zagadał:

— Pasyami lubię starożytności, dobrodzieju mój! Jest tam u mnie na wsi takie stare cmentarzysko pod lasem. Kiedy przechodzę, zawsze uważam, szczególnie po silnym wietrze, albo po ulewie...

— Taki piasek lotny, zlekka falisty?—ożywił się Ciecierowicz, wpatrując się w opowiadającego.

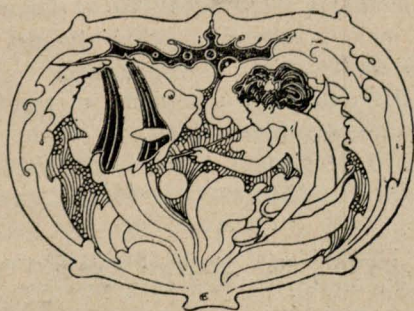
— O to, to, jakbyś pan tam był. Więc znajdę czasem to strzałkę, to siekierkę krzemienią. Chowam to wszystko starannie, bo zawsze przedmiot naukowy, dobrodzieju mój.

— Zwietszałe kurhany piaszczyste; są to zwykle pobojojwiska, nie cmentarze—zawyrokował Ciecierowicz.

— Jeżeli chodzi o cmentarze—wmieszał się znowu pan Gotard—to ja znam lepsze. Szukałem niegdyś grobu prapradziadka na jednym cmentarzu. Czytam więc różne epigrafy...

— Epigrafy—poprawił szorstko Ciecierowicz...

— Jak pan sobie chcesz. Ale takiego



stylu może nie spotkaliście? Leżał tam jakiś Sapieha, nie hetman naturalnie, ani wojewoda, tylko pomniejszy. I na kamieniu był taki napis:

Tutaj leży  
Pan Sapieży.  
Że nie świeży,  
Nie wybieży.

— A niech cię, Gotardzie dobrodzieju! Gdzie to wynalazłeś?

— Pewno w starym kalendarzu—burknął mściwie Ciecierowicz.

— Właśnie, że na płycie, której wierny wizerunek posłę wam do litewskiego muzeum.

Ciecierowicz, parszkając z oburzenia, odwrócił się do Budzisz, który szanował archeologię i tak się wkrótce z nim pokumał na gruncie cmentarzysk, że skończyło się między nimi na kielichach węgryna.

Kogo tam nie było w Wiszunach! Sproszono, prócz gości z za gór, wszystkich sąsiadów bez wyjątku. Więc obok wytwornej głowy hrabiego Hylzena i poważnej pary Kmitów, rodziców narzeczonego, spotkać było można plebejuszowskie, ale ciekawe postacie braci Miłaknisów: Józefa, właściciela zaścianka w pobliżu Wiszun, i Jana, literata z Wilna, który, bawiąc czasowo u brata, został także zaproszony. Z najbliższych brakło jeszcze księdza Witulanisa, miejscowego proboszcza, a z dalszych sąsiadów—towarzystwa z Rarogów. Chmara obiecał jednak przybyć, jeżeli mu pozwolą ważne sprawy, ciężące nieustannie na jego barkach. Zaproszeni byli i młodzi Zasławscy, ale pomimo chęci przybyć nie mogli, bo matka wysłała ich uprzednio do szkół; sama księżna również nie była już w kraju, przysłała tylko depezę z powinszowaniem.

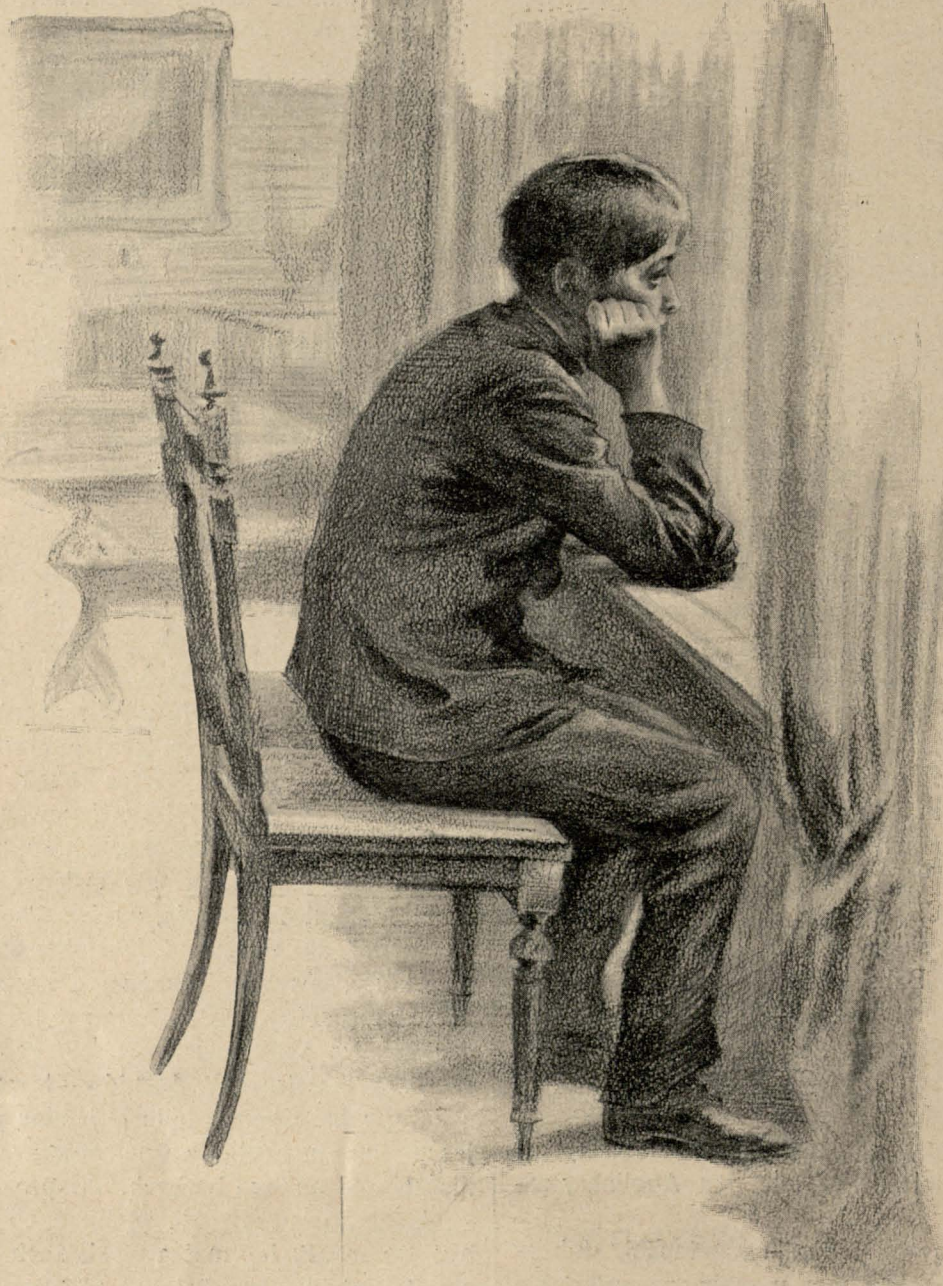
Te braki nie sprawiały wyłomu w towarzystwie weselnym, tak licznym, że aż roilo się od mężczyzn wszelkich wieków przy bufetach, od dam po kanapach i od panien w ogrodzie.

Co dziwniejsza, że przeważna ilość gości nocowała we dworze wiszuńskim, obszernym, lecz uszczuplonym z powodu prowizorycznego urządzenia kilku pokojów na bawialne. Tylko już młodzież męska szła spać pokotem do „odryny”, na siano, kąpała się w jeziorze, a stroiła się w stojącej nad jeziorem łaźnią, urządzonej obecnie na zbiorową ubieralnię.

Nad tłumem mężczyzn ukazywał się ciągle pan Hieronim Budzisz, niby konno, pragnący gościom nieba przychylić. Faktyczne obowiązki gospodarza pełnili z zapałem panowie Gotard i Apolinary. W gronie dam pani Hieronimowa nikomu nie dawała się wyprzedzić wymową, a jej strój staranniejszy, niż zwykle, i uczesanie świąteczne odnowiły jej ciężką postać do niepoznania. Dość ozdobnie uosobiała matronę.

— Znaczna to szlachta u was Kurko-Ciecierowicze?—pytał Apolinary Gotarda.

— Słyszałeś przecie: z bałwanami litewskimi za pan brat—odpowiedział Gotard.



Patrzyłem więc smutny przez okno.

Z. BADOWSKI

MIECZYŚLAW SROKOWSKI:

## JAK ŁZA...

Nie byłem już wówczas malcem, wierzącym w bociany, ani w to, że w nocy przychodzi taka pani, wiedziałem dobrze, że mi życie dała matka, bo miałem już pełnych lat piętnaście. W dalsze dociekania w tej materii nie wchodziłem, a „fizyologia” nic mnie nie obchodziła. Był to jednakowoż u mnie ten okres czasu, gdy Duch puszczy i Indianie przestali już moje myśli zapalać, a bardziej do duszy przemawiały mi Somosierra i Raszyn!

Poza tem zaczynałem się kochać, nazwijmy to tak...

Przedziwnie kielkuje to uczucie w duszy dorastającego dziecka, co na męty i brudy, którymi ludzie splugawili miłość, ma zupełnie zamknięte oczy; wykwiła ono w niewinnej duszy ogromnym zachwytem, nie dotyka zupełnie niemal ciała, łączy się przedziwnie z zapachem kwiatów, które dają wiosna, niesie tchnienie bżów i jaśminu.

To nie przesada, ani poetyzowanie, tak jest, chcecie sobie przypomnieć tylko...

Ujrzałem „Ją” pierwszy raz w rozmównicy klasztoru, w którym wychowywały się moje siostry. Salon duży, jasny, widny, odwiedzający krewni siedzą na kanapach, które

wokół sali pod ścianami są ustawione, i czekają na przybycie „panienek”.

Ja przyszedłem z mamą odwiedzić moje siostry.

I wchodzą te panienki. Wchodzą, jak sarniątka, lekko i powiewnie chwiejąc się, niby smukłe dziewanny w polu! Niektóre miały różowe albo błękitne wstążki, przewieszzone przez ramię, jako odznakę za postęp w naukach i za grzeczność.

Moje dwie szczebiotki już były dawno w rozmównicy, już wcisnąłem im funt cukierków, z którego po drodze sam połowę ukradkiem schrupałem, gdy weszła „Ona”...

Był to pierwszy „*pik w serce*”, który w życiu uczułem i otrzymałem!

Siostry uśmiechnęły się zdaleka do wchodzącej, która, oddawszy ogólny, obowiązkowy ukłon wszystkim zgromadzonym w salonie gościom, podażyła do czekającego na nią ojca.

A mnie przejmujące jakieś drżenie porwało na widok tego niezemskiego zjawiska. Stanowczo ona była dla mnie niezemskim zjawiskiem—wówczas... Dziś, jak sobie przypominam dobrze, a lat temu dwadzieścia i jeden i... może trochę jeszcze więcej, „zjawisko” było naprawdę prześliczne, ale *par excellence* właśnie ziemskie... Jak na piętnastą wiosnę, rozwinięta bardzo śmiało, cera smagława z rumieńcami, szatynka o przedziwnych, stalowych

oczach i bardzo czarnych, zrośniętych nad fantazyjnym trochę noskiem brwiach, usta wydatne, koloru dojrzałych truskawek... Wszystko razem, najsurowiej nawet sądząc, bardzo ładne, tylko... stanowczo nie nadziemskie...

Ale dla mnie była niebiańska, więc była! Zagapiłem się naturalnie na nią i zamilkłem, jakby w słup soli zmieniony!

Dopiero najmłodsza siostra moja zwróciła mi szeptem uwagę, że to niegrzecznie tak komuś się bardzo przypatrywać...

Potem otrzymałem kompletną informację, od której serce szamotać mi się zaczęło z radości.

Dowiedziałem się mianowicie, że moje bóstwo nazywa się Manusia X., że rodzice odbierają ją z zakładu, że będzie uczęszczała do pensjonatu w mieście i, co najważniejsze, że w czasie feryi wielkanocnych przyrzekła odwiedzić moje siostry u nas...

Dostałem gorączki...

A wogóle nie umiałem pojąć dlaczego?! Pisałem, niestety, już i wtedy wiersze, ale tylko o bitwach! Najwięcej zaś interesowała mnie kasetka, zamknięta w pierwszej szufladzie komody mojej matki, w której był krzyż *virtuti militari*, była oznaka legii honorowej (zdobyta pod Jeną) i medal pamiątkowy napoleoński z wyspy św. Heleny, mego pradziada. Gdy otrzymałem dobry stopień, albo zasłużyłem na to grzecznością, pozwalała mi matka oglądać, a nawet czasem wziąć do ręki te świętości...

Nastąpił zwrot (chwilowy) w moim życiu...

Sypnęły się poematy „dla Niej”, a w szkole „nagany”.

Nazwałem ją moją Beatryczą. O, bo już wówczas wiedziałem, że Krasiniński mówi: „o *Beatriks moja!*” Wiedziałem nawet, że Dante miał Beatrycę swoją! Znałem się z temi rzeczami lepiej, niż z gramatyką niemiecką i algebrą. Wogóle literaturę lubiłem bardzo i umiałem z niej o wiele więcej, niż mi wtedy jeszcze dać mogła szkoła. Spotykałem się więc z miłością w poezji ciągle, ale rozumiałem, że to jest, ot sobie taki tylko temat, jak np. księżyc, kwiaty i słowik.

Teraz dopiero pojąłem, co to znaczy mieć Beatrycę swoją...

A złe noty sypały się, poematy kwitły, byłem na wszystkich konferencyach wykazywany ze złego postępu ze wszystkich przedmiotów szkolnych...

I tak nawet tę pierwszą, czystą i dzieciną miłość musiała opłakać matka moja!

Bo o późniejszych nie gadam nawet!

Tymczasem zbliżył się wielki tydzień i Wielkanoc, we czwartek przedświąteczny zaczęły się ferye, i matka pojechała do Sacré Coeur po siostry, ja zostałem bardzo markotny w oknie naszego domu, nie wzięła mi matka ze sobą, nic dziwnego, wogóle zupełnie gniewała się na mnie! Koniec roku szkolnego był już prawie na karku, bo Wielkanoc wówczas wypadła, pamiętam, jakoś w drugiej połowie kwietnia, i mnie z tem zaniedbaniem w naukach groziło nie na żarty siedzenie drugi rok w tej samej klasie!

Patrzyłem więc smutny przez okno i, opłakując w ogromnym sekrecie, badałem nadjeżdżające dorożki.

Ostatecznie przyjechały siostry. Po zamysłonych minkach poznałem, że im matka o mojem niepojętem dla niej zaniedbaniu w naukach opowiedziała, wstyd mi było bardzo, ale nic po sobie nie pokazałem. Pocałowaliśmy się na przywitanie, ale inaczej to

było kiedy indziej, inaczej wyglądały poprzednie przywitania na świętach w domu.

Bałem się trochę starszej siostry, Maryi, była zawsze bardzo seryo, i już wówczas zajmowała życie, jako szereg twardych i surowych obowiązków. Do młodszej zaś, Oleńki, miałem zupełne zaufanie, ale i tu spotkał mnie zawód; bo, gdy zbliżyłem się do niej z propozycją wspólnej zabawy, twarzyczka się jej zachmurzyła, i mruknęła tylko:

— E, nie...

— Dlaczego?—pytam.

— A... a czemu ty się nie uczysz teraz? Mama przez ciebie płakała!

Ponieważ spostrzegłem, że ona też ma wielki gust do rozptakania się, zrobiło mi się

jakoś niewyraźnie, i uciekłem do ogrodu. Wiosna była wczesna w tym roku—i powietrze ciepłe. Jeszcze przed tygodniem uporządkowano ścieżki i alejkę tego miejskiego ogródka. Pełnym latem było tu zacisznie i miło, bo na małej przestrzeni rościło wiele drzew owocowych, niskich i rozłożystych, tak że cały ogród zmieniał się w jedną ciemną grotę. Była naturalnie i dzikiem winem obrosta altanka.

Wszedłem więc do ogrodu. Drzewa były nagie i czarne, gdzieniegdzie zaledwie pokazywać zaczęła się trawka, wążka i nieśmiała. Ogarnął mnie świeży zapach niedawno rozmarzłej i ocieplonej ziemi, słońce przyświeciło, wróble zaczęły, i... przypomniawszy mi się raz tylko widziana Beatrycze moja. Zacząłem

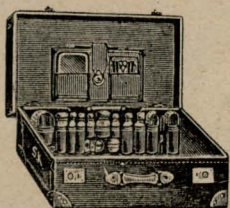
deklamować sobie jeden z „poematów”, dla niej pisanych, który się zachował w archiwum pamiątkowym mojej matki, dlatego mogę go przytoczyć, niech Bóg broni, nie w całości, ale pierwszą jego strofkę tylko:

Czyż to moja, ludzie, wina,  
Żem oniemiał, żem olśniony?  
Że piękniejsza ta dziewczyna,  
Niż poetów cud wyśniony?  
I choć bólem darzy srogiem (!?),  
Chciałbym skonać przed jej progami!!!

i trzy wykrzykniki—naturalnie! Ale wówczas zdawało mi się, że Heine z zazdrości się w grobie przewraca, a Petrarca wogóle już istnieć przestał!

(DN).

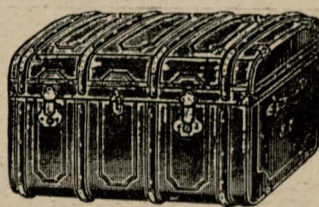
N A D E S Ł A N E.



**STANISŁAW KRAUSE i S<sup>KA</sup>**

FABRYKA I MAGAZYN  
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY

Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)  
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.

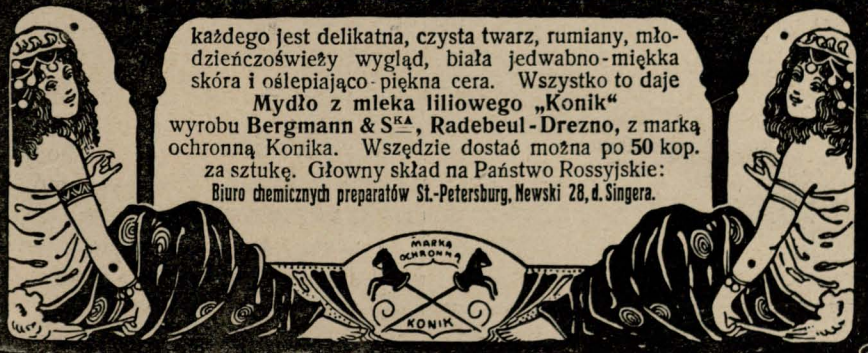


**MEBLE**

**ZAŁĘSKI i S-ka**

Warszawa, Erywańska Nr 2,  
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.

**SERDECZNYM ŻYCZENIEM**



każdego jest delikatna, czysta twarz, rumiany, młodzieńczoświeży wygląd, biała jedwabno-miękka skóra i oślepiająco-piękna cera. Wszystko to daje Mydło z mleka liliowego „Konik” wyrobu Bergmann & S<sup>KA</sup>, Radebeul-Drezno, z marką ochronną Konika. Wszędzie dostać można po 50 kop. za sztukę. Główny skład na Państwo Rosyjskie: Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, d. Singera.

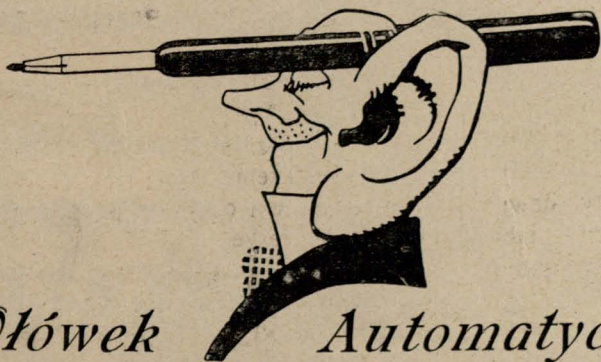
Żądać tylko w czerwonym opakowaniu.

**KALODONT**

Niezbędny krem do zębów  
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.  
Żądać wszędzie

Poleca własnego wyrobu **Kakao** w proszku, Czekoladę **Mleczną-Unique**, **Czekoladki Deserowe**, oraz Wyroby Cukiernicze.

**G. G. LARDELLI**  
Boduena 5. Nowy-Swiat 27.



Ołówek **Automatyczny**

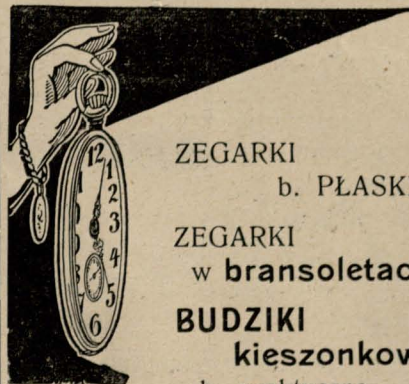
**Penkala**

WYRÓB KROACKIEJ FABRYKI W ZAGRZEBIU—jest wynalazkiem nadzwyczaj ciekawym, nie wymaga ani TEMPEROWANIA, ani wykręcania. Ołówki kolorowe niebywale CIENKIE i TRWAŁE. ELEGANCKIE proste i nie do zużycia. Do nabycia wszędzie. CENA 50 kop.

Główni reprezentanci na Cesarstwo i Królestwo Dom Handlowy

**NACHTLICHT i KAMIENSKI**

Warszawa, Tłomackie Nr 1, Telefon 17-51,



ZEGARKI  
b. PŁASKIE,

ZEGARKI  
w bransoletach,

BUDZIKI  
kieszonkowe  
b. praktyczne

u ZEGARMISTRZA

**A. MODRO**

WARSZAWA,

Marszałkowska 151

Teefon 28-98.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY

D-ra ROBERTA BERNHARDTA

ordynatora szpitala św. Łazarza.

WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.

Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentgena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonwalizacją. Choroby weneryczne.

MAGAZYN KRAWIECKI  
**SZWAŁBE SACH i S<sup>KA</sup>**  
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY  
GOTOWE i NA OBSTALUNEK  
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.

ZUZANNA RABSKA

Zanim światła pogasną

Rb. 1.60

Do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie.

GABINET  
ŚWIATŁOLECZNICZY

D-ra Ludwika Chybczyńskiego

Warszawa, ul. SZOPENA 1. Telefon 132-92.

Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Roentgen'a, Kromayera, radium i elektrolizą. Choroby weneryczne.



Od przeszło 40-stu lat polecana przez lekarzy całego świata jako idealny pokarm — DLA DZIECI — i dorosłych chorych na żołądek.

**J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI**

Krakowskie-Przedmieście Nr 19  
dom własny

Leszno 94 (dom własny). Magazyn do końca sierpnia Senatorska 8, telefon 34-43. Poleca: wielki wybór srebrnych i złotych wrobów kościelnych i świec fabrycznych

# S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca: Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

**L. Lipiński** (Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12.)  
WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie,

Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuterya złota i srebrna w najnowszym fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.

## Specjalna SZKOŁA przygotowawcza Karola Schulza

w Warszawie, ul. Św. Barbary № 10.  
Telefon Nr. 36-04.

Przyjmuje chłopców nie umiejących czytać i z początkami, jak również zaniedbanych w naukach i przysposabia ich do 3-ciej klasy wszystkich średnich zakładów naukowych. Główny nacisk szkoła kładzie na wyrobienie samodzielności w dzieciach i rozwój umysłowy. W szkole jest stosowany system angielsko-szwajcarski, który wyklucza wszelkiego rodzaju korepetycje w domu. Szkoła posiada najbogatsze muzeum szkolne, zawierające przeszło 10,000 okazów, 1500 obrazów i t. d., które zwiedzać mogą wszyscy, interesujący się wychowaniem młodzieży.

ZAKŁAD PRZEBŁOWSKI, znacznie rozszerzony w nowym lokalu, przyjmuje chłopców i dziewczynki od lat 3—8.

Lekcje rozpoczną się 2 września.

## Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

## PODREĆZNIKI SZKOLNE

POLECAJĄ KSIĘGARNIE


## GEBETHNERA i WOLFFA

W WARSZAWIE, Nowo-Sienna 9 i Krakowskie-Przedmieście 15,  
W LUBLINIE, Krakowskie-Przedmieście 36.

KARPINSKIEGO  
**KREM OGÓRKOWY MATOWY**  
Cena 60 kop.  
Laboratorium Chemiczno-Farmaceutyczne  
Fr. Karpinskiego  
w Warszawie, Elekoralna 35. Telefon 600.  
Ządać wszędzie



KOMPLETNE  
**Urządzenia biurowe**  
**KAROL F. FIŚER**  
Warszawa, Mazowiecka 10.



Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26  
Telefonu 167.49.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

## SKŁADY NUT GEBETHNERA i WOLFFA

W WARSZAWIE

Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda) Krakowskie-Przedmieście 15

Polecają

WIEDEŃSKIE tanie wydawnictwa  
nutowe w tomach

## „UNIWERSAL-EDITION“

Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.

„Universal Edition” zastępują niemieckie wydania Petersa, Litoffa i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

## E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3.

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.

## Magazyn Sukien i Okryć Damskich Władysławy Kwiatkowskiej

Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Zaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

**LUDWIK SZUFA**  
**KRAWIEC**  
KRAKOW TELEFON 671

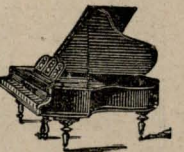
## HURTOWY I DETALICZNY SKŁAD SUKNA I KORTÓW

**LEONA MESSINGA**

MIODOWA № 7

poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

**GEBETHNER**  
**i WOLFF**  
PIANINA I FORTEPIANY  
W WARSZAWIE  
KRAK.-PRZEDM. 17



## Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

## PATENTY

NA

WYNAŁAZKI

Włodarkiewicz

i Sieklucki

Włodzimierska 16,

Egz. od 1886 r.



**ANTONI RAUCH**, Warszawa,  
ulica Świętokrzyska 33, tel. 1-13  
Pokost, olej do palenia, ojeje i smary.  
Widok kabiny na wystawie w Częstochowie.

**Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90**

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

Michał Jasiński i S-ka  
 w Warszawie, KRAK.-PRZEDM. 7  
 Tel. 18-32.  
 Polecają: Szwedzkie oryginalne Wirówki „SVEA”, najdokładniej oddzielające śmietankę, oraz najtańsze, odznaczające się prostą konstrukcją „DOMO” od rb. 28, tak dla Kółek włośnianych, jak i dla Kółek kontrolerów obrotu. — Kompletnie kufry dla kontrolerów obrotu, gotowe na składzie. — Instalacje mleczarni ręcznych i parowych. Artykuły hodowlane: rury do ratowania bydła, puszczadła, trokary, irygatory, termometry, kotła dla stadników, marki do znaczenia ciał etc. — Amerykańskie nożyce do strzyżenia koni i owiec. Maszyny do bieleńia i dezynfekcji. Katalogi na żądanie. Kupno i sprzedaż masła.  
 BIURO TECHNICZNO-MLECZARSKIE